



MIRANDA JARRETT



Wyjątkowy dar

Z antologii „Magia miłości”



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ladysmith Manor, Sussex Grudzień 1801

Od ostatniego spotkania minęło wprawdzie sześć lat, ale Sara Blake uświadomiła sobie w mgnieniu oka, że poznałaby go wszędzie.

Zacisnęła skromnie złożone dłonie, aby ukryć ich drzenie, i pochyliła się w stronę podłużnego, wysokiego okna, spoglądając w dół na odzianego w czerń dżentelmena, który wysiadał z powozu na ośnieżonym podejździe. W jej wspomnieniach nie był tak oschły i ponury. Zachowała w pamięci inną Gwiazdkę. Nosił wtedy szafirowy płaszcz podkreślający kolor i blask jego oczu, które lśniły, gdy oboje jednocześnie wybuchali śmiechem. Był wówczas najprzystojniejszym z panów zaproszonych na bal.

Sześć lat. Ufała mu wtedy i kochała go całym sercem, jak przystało na pełną życia siedemnastolatkę. Teraz zgodnie z najnowszą modą strzygł się krócej. Chłodny powiew zwichrzył mu włosy i zaraz przypomniała sobie, jak miękka była jego czupryna. Kiedy pochyłał się, żeby ją pocałować, chętnie wsuwała palce między jedwabiste kosmyki.

– Wie pani, kto to jest, panno Blake? – wypytywała Clarissa Fordyce z dumną minką dobrze poinformowanej ośmiolatki. – To właśnie ten pan, którego mamusia nie chciała zaprosić na święta. Zgodziła się, bo Albert nalegał.

– Młodzi panowie tacy jak twój brat miewają niekiedy znajomych, którzy nie podobają się ich matkom – odparła Sara, tłumacząc rzeczowo i spokojnie, jak przystało na guwernantkę, która musi pozostać opanowana, choć powracają najgorsze obawy, ręce się pocą, a serce kołacze. – Nielatwo jest dobrać sobie właściwe towarzystwo.

– Tym razem Albert się nie popisał – oznajmiła stanowczo Clarissa. Nie bacząc na to, że pulchne paluszki ma lepkie od marcepana, położyła dłonie na szybie i z ciekawością obserwowała mężczyznę będącego z pewnością najciekawszą osobą wśród gości, którzy przybyli w tym tygodniu na zaproszenie jej matki. – Albert mówi, że wszyscy nazywają go królem szafirów. Podobno to najgorszy diabeł w całych Indiach!

– Jak ty się wyrażasz, Clarisso! – skarciła ją Sara. Poczucie winy i wspomnienia sprzed lat sprawiły, że spłonęła rumieńcem. Dlaczego była taka przejęta? Od rozstania minęło tyle lat. – Prawdziwa dama nie zważa na cudze opinie. Ten pan ma z pewnością nazwisko, którego należy używać, gdy się o nim mówi.

– Tak, panno Blake – przyznała skwapliwie Clarissa, lecz nadal bez najmniejszych oznak skruchy lub wyrzutów sumienia patrzyła w okno. W dole gość wchodził po starannie zamiecionych schodach, a wiatr szarpał płaszcz podróżny narzucony na szerokie ramiona. Albert Fordyce wybiegł mu na spotkanie. – To jest lord Revell Claremont – wyjaśniła Clarissa. – Będę wobec niego bardzo grzeczna, bo to gość mamusi, a jego brat jest księciem. Poza tym Albert stłukłby mnie na kwaśne jabłko, gdybym zachowała się niewłaściwie. Ale lord Revell naprawdę wygląda jak sam diabeł, co?

Gdy Sara patrzyła na Revella Claremonta, widziała ukochanego, któremu przed laty oddała nie tylko serce, lecz także duszę i niewinność. Stał jej również przed oczyma kres baśniowego życia w zamorskim kraju, a ponadto wielki zawód, nagła utrata wszystkiego, co było jej najdroższe, oraz skandal, którego miała nadzieję uniknąć, wyrzekając się na zawsze rodzowego nazwiska i dawnego życia. Dlatego uciekła na drugą półkulę, na inny kontynent, za dwa oceany. Teraz obawiała się na serio odkrycia swej

przeszłości, rychłego ujawnienia niechlubnych postępów ojca, szybkiego i nieuchronnego wyrzucenia z tego domu oraz niepewnej przyszłości. Musiałaby po raz kolejny zaczynać wszystko od początku. Revell Claremont wbrew zapewnieniom o gorącym uczuciu opuścił ją w potrzebie, więc i tym razem z pewnością nie przejmie się jej losem.

Nie ma co, zapowiadają się radosne święta.

Revell stał przy kominku na lekko rozstawionych nogach, wyciągając dłonie w stronę paleniska. Udawał, że nie zwraca uwagi na otoczenie i chce się tylko ogrzać, aż usłyszał kroki lokaja wychodzącego z sypialni i cichy stuk zamykanych drzwi. Z westchnieniem ulgi skulił ramiona. Całkiem opadł z sił. Miał nadzieję, że służący Yates szybko wróci i przygotuje mu kąpiel, jak miał nakazane. Lada chwila powinien zjawić się z gromadką pokojówek niosących dzbany napełnione w kuchni gorącą wodą.

Revell był kompletnie wyczerpany. Całkowity upadek sił i duchowa niemoc. Podróżowanie jest wyczerpującym zajęciem, a od ponad roku nie potrafił wysiedzieć w jednym miejscu dłużej niż trzy dni. Nosiło go jak samotny jesienny liść gnany powiewami chłodnego wiatru. Tak starszy brat imieniem Brant określił ową włóczęgę. Revell nie mógł się z nim nie zgodzić. Dlaczego miałby protestować, skoro brat trafił w sedno?

Z drugiej strony jednak, co Brant przesiadujący we wspaniałym londyńskim domu z nieodłączną szklaneczką brandy wie o gorączkowym niepokoju? Gdy ojciec wysłał Revella na tułaczkę, nie tyle puścił go na wiatr jak liść, ile wyrzucił niczym fałszywego pensa wybitego z cyny, a nie z miedzi. Od tamtej pory Revell dorobił się fortuny godnej swego tytułu i uchodził teraz za człowieka wpływowego i cieszącego się wśród ludzi ogromnym szacunkiem. On i dwaj bracia przysięgli sobie w dzieciństwie, że zajdą wysoko, i wypełnili chłopięce obietnice. I Brant, i George dobrze się

spisali. Revell nie słyszał nigdy, żeby narzekali na to, co im przypadło w udziale. Skoro ustawiczny niepokój oraz samotność stanowiły cenę jego życiowego powodzenia, niech tak będzie.

Pokręcił głową, nie chcąc poddać się dawnemu rozgoryczeniu, i rozsunął palce, żeby je szybciej ogrzać. Długo przebywał poza krajem, więc zapomniał, jak zimny bywa grudzień w Susseksie. A może przejmujący chłód na równi ze skrajnym wyczerpaniem to oznaka, że się starzeje? Z chmurną miną popatrzył w lustro nad kominkiem. Wcale by się nie zdziwił, gdyby ujrzął ciemne, gęste włosy przyprószone siwizną i niebieskie oczy, dawniej bystre, teraz z racji podeszłego wieku mocno przymglone. Latka leca; za miesiąc skończy dwadzieścia osiem. Pokręcił głową. Wierzyć się nie chce, że czas płynie tak szybko.

Odruchowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki po kwadratowe etui obciążone cielecą skórą w złote wzory, mocno wytartą od ciągłego dotykania. Kciukiem otworzył wieczko. Szafiry rozjarzyły się w blasku ognia, miotając błękitne skry. Revell obracał złotą obrączkę. Od sześciu lat nosił na sercu zaręczynowy pierścionek jako nieustanne przypomnienie o dziewczynie, dla której był przeznaczony, swej jedynej ukochanej. Z jej powodu przestał się interesować innymi kobietami.

Miłość... Zaklął cicho, zatrzasnął pudełeczko i schował do kieszonki. Szkoda, że wspomnień nie można równie łatwo usunąć z pamięci. Bóg wie, że jej łatwo przyszło zapomnieć. Wyjechała z Kalkuty bez żalu, bez słowa wyjaśnienia, nawet bez pożegnania.

Minęło sześć lat, a jednak nadal odczuwał radosne uniesienie, wspominając jej wesoły śmiech, łagodny wyraz oczu, chętnie usta słodkie jak dojrzałe czereśnie, rumieniec, którym oblewała się na jego widok.

Najdroższa, ukochana Sara...

Do diabła, to już sześć lat. Z latami stawał się sentymentalny. Tak bardzo obawiał się samotności i wspomnień, że przyjął zaproszenie Alberta Fordyce'a i przyjechał do Ladysmith. Chodzili razem do szkoły, ale nie widzieli się od lat. Przypadek zetknął ich w ubiegłym tygodniu przed Drury Lane. Revella skusiły świąteczne półgęski, poncz rumowy, jemiola nad drzwiami, ogień huczący w kominku i maskarada w wigilię Trzech Króli. To wystarczyło, żeby zdecydował się przez dwa tygodnie zażywać przyjemności domowej kuchni, skrzypcowych kapel i nużących zabaw w towarzystwie rumianych ziemian oraz ich żwawych małżonek o pucułowatych twarzyczkach.

Żadna z tych atrakcji nie mogła sprawić, żeby zapomniał o Sarze. Daremne wysiłki!

Nie ma co, radosne święta.

Sara chyba po raz setny w ciągu ostatniej godziny popatrzyła na stojący w rogu salonu wysoki zegar ozdobiony gałązkami ostrokrzewu i czerwonymi świątecznymi wstążkami. Pięć minut zostało, kiedy to niezawodnie Sady Fordyce ustawi niezbyt licznych gości po porządku i zaprosi ich do jadalni, natomiast Sara i Clarissa pójdą na górę do dzieciennego pokoju na skromną kolację.

Jeszcze cztery minuty. Może los chwilowo będzie dla niej łaskawy? Z bijącym sercem strzepnęła muślinową falbankę rękawa. Jeśli Revell został zaproszony na tych samych zasadach, co reszta gości zebranych w salonie, pozostanie w Ladysmith aż do Trzech Króli. Spotkania będą nieuniknione, skoro będą przebywać pod jednym dachem. Im później nastąpi pierwsze z nich, tym lepiej. Ze strony Revella to oczywiście wielki nietakt, że wkrótce po przybyciu nie zszedł do salonu, żeby przywitać się z panem i panią

domu, dzięki temu jednak Sara zyskała na czasie. Minie kolejna doba, nim jej sekret zostanie odkryty.

Jeszcze trzy minuty... Istniało, rzecz jasna, spore prawdopodobieństwo, że Revell jej nie rozpozna. Zdawała sobie sprawę, że bardzo się zmieniła, odkąd widział ją po raz ostatni. Twarz miała bladą i smutną, a skromniutkie, proste ubranie nie dodawało jej urody. Jako guwernantka Clarissy zaliczała się właściwie do służby domowej i wyglądem niewiele różniła się od pokojówki. Od godziny samotnie stała przy oknie, podczas gdy mała Clarissa zbierała pochwały i pieszczoty od wytwornych dam i przystojnych, roześmianych dżentelmenów niedostrzegających guwernantki, która modliła się w duchu, żeby i Revell był równie nieuważny.

– Panno Blake – odezwała się lady Fordyce, podchodząc do Sary. Była wysoką, urodziwą kobietą o dobrym sercu i miłym usposobieniu. Kochała dwoje dzieci i męża, a on darzył ją podobnym uczuciem. – Moim zdaniem Clarissa powinna już iść na górę.

– Tak, proszę pani – odparła Sara z lekkim dygnięciem. Pochyliła głowę, żeby ukryć westchnienie ulgi. Cieszyła się, że może umknąć dwie minuty przed czasem. – Jest wyjątkowo podekscytowana świąteczną atmosferą.

– Wszystko przez jej brata – odparła nieco zirytowana lady Fordyce, obserwując swoje pociechy. Clarissa siedziała na ramieniu Alberta, śpiewając na cały głos kolędy i zamiast się zachowywać jak młoda dama, wymachiwała rękami niczym kapelmistrz orkiestry wojskowej.

– Albercie – powiedziała stanowczo lady Fordyce. – Albercie! Natychmiast postaw Clarissę. Panna Blake zabiera ją do dzieciennego pokoju.

– Mamo, nie! – zawołała dziewczynka, gdy brat opuścił ją na dywan tak energicznie, aż zaszumiały falbany białej halki. – Jeszcze za wcześnie!

– Przykro mi, ale na nas już pora – powiedziała współczująco Sara, biorąc ją za rękę. – A teraz pocałuj mamę na dobranoc.

Zasmucona dziewczynka zwróciła się ku grupie dorosłych spoglądających na nią z powagą. Była jedynym dzieckiem w tym domu i niczym mała królowa brylowała wśród nich jak na prawdziwym dworze. Ale i władczyniom przychodzi niekiedy udać się na wygnanie. Smutne doświadczenie nauczyło ją, że matka nie da się ubłagać, skoro kolacja została podana.

– Ja także proszę o całusa – wtrącił Albert, jak zawsze radośnie. Nie miał trzydziestu lat, ale stał się już typowym angielskim ziemianinem, którego bardziej interesują psy i konie niż oprawione w skórę książki z ojcowskiej biblioteki. – Kto jest moim najdroższym skarbem i ukochaną siostrzyczką?

– Ja, ale dlatego, że masz tylko jedną siostrę – odparła rezolutnie Clarissa, całując go łaskawie w rumiany policzek. – Przecież wiesz.

– Czy to jest twoja siostra, Fordyce? – rozległ się niski, głęboki głos. Sara sądziła do niedawna, że go już nie usłyszy. – Ciekawe, taki miły skrzat, a brata ma, że szkoda gadać.

Sara odruchowo zwróciła się w stronę nowo przybyłego. Serce biło jej mocno, najchętniej by uciekła. Revell stał tak blisko, że widziała dokładnie niewielką, jasną bliznę na gładka wygolonym policzku.

Czy każdego ranka stojąc przed lustrem, wspomina, skąd się wzięła? Miał ją od czasu, gdy wspinał się po wysokim murze otaczającym biały pałacyk jej ojca przy Chowringhee Road. Może pamiętał, że często u niej bywał... a raczej zostawał na całą noc, żeby kochać się z nią do upojenia?

Czy dotykał blizny, wspominając, jak przechodził na drugą stronę muru i prześlizgiwał się wśród gałęzi drzew oraz winorośli, żeby dojść do ławki z lekowego drewna, gdzie na niego czekała?

– Panienko, jestem zaszczycony – dodał Revell i ukłonił się, nie zwracając uwagi na Sarę.

Zaciekawiona dziewczynka wysunęła rączkę z dłoni guwernantki, zrobiła krok do przodu, rozłożyła szeroko spódniczkę i dygnęła kokieteryjnie przed nowym wielbicielem. Goście przestali rozmawiać, pilnie obserwując i z ciekawością nadstawiając ucha. Wcześniej gruchnęła wieść, że do zebranego w domu towarzystwa dołączył sławny, a według innych osławiony lord Revell Claremont, lecz dopiero teraz mogli mu się przyjrzeć.

Nie rozczarował ciekawskich. Wprawdzie uśmiechał się mile do Clarissy, ale oczy nie zdradzały uczuć. Nawet gdy stał bez ruchu, ubrany w nieskazitelny odświętny surdut i koszulę z holenderskiego płótna, przypominał sprężonego do skoku tygrysa.

Sara miała potem usłyszeć wymieniane szeptem uwagi pań zachwyconych jego wspaniałą posturą i barczystymi ramionami, groźnym spojrzeniem, a także kamizelką i półkolistym szafirem wielkości co najmniej gołębiego jajka, który ozdabiał pierścień na prawej ręce. Panowie dostrzegli chłodne spojrzenie niebieskich oczu i głębokie bruzdy obok ponuro zaciśniętych ust, widome oznaki, że zbyt długo przebywał w pogańskim kraju Hindusów. Każdy z nich obiecywał sobie, że nie będzie szukać zwady z bezdusznym okrutnikiem.

Sara od razu spostrzegła, że z jego twarzy zniknęła wszelka łagodność. Był teraz surowy i nieprzystępny, zadała więc sobie pytanie, kiedy ostatnio miał lepszy humor i czy potrafi się jeszcze śmiać.

Lady Fordyce podeszła bliżej, jedną rękę obronnym gestem położyła na ramieniu córki, a drugą podała Revellowi. Sara natychmiast pojęła znaczenie tego gestu. Lady Fordyce, pierwsza dama w hrabstwie, bardzo poważnie traktowała obowiązki pani domu, a gość uchybił zasadom dobrego tonu, schodząc do salonu tak późno.

– Lord Revell, prawda? – zagadnęła.

Skinął głową, ujął jej rękę i pochylił się nad nią, nie dotykając ustami.

– Owszem, milady.

– Zechce pan niewątpliwie podać ramię lady Lawrence i poprowadzić ją do stołu – odparła z wymownym gestem. – Jesteśmy zaszczytzeni, że zechciał pan wreszcie do nas dołączyć, ale nie chcę dłużej nadużywać cierpliwości naszego towarzystwa, a także kucharza.

Revell skłonił się znowu i podszedł do lady Lawrence, podstarzałej wdowy w lawendowych jedwabiach, która była przerażona i zachwycona, że przy kolacji trafiła jej się taka asysta. Pozostali goście szybko dobrali się w pary wedle godności i ruszyli do jadalni przez łukowate drzwi ozdobione girlandami ostrokrzewu. Sara i Clarissa zostały w salonie.

– Oooch, panno Blake! A nie mówiłam! – zawołała z ożywieniem dziewczynka. – Ten lord Revell to istny diabeł. Ani mu w głowie przeprosić mamę. Wcale się nie przejął!

– Ciszej, Clarisso – pouczyła Sara wpatrzona w opustoszały korytarz.

– Nie wypada robić takich uwag na temat jego charakteru.

Gdy podszedł, dzieliły ich niespełna cztery stopy, lecz nie zwrócił na nią uwagi. Ani jednego spojrzenia, uśmiechu czy gniewnego zmarszczenia brwi. Żadnego znaku, że pamięta, jak wiele kiedyś dla niego znaczyła. Przedtem nie śmiała się łudzić, że pierwsze spotkanie po latach niczego w jej życiu nie zmieni, ale chyba uniknęła najgorszego.

Tylko jak to możliwe, że serce, raz złamane, po raz wtóry cierpi katusze?

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Revell siedział w fotelu ze splecionymi dłońmi i ramionami wspartymi na podłokietnikach. Uśmiechnięty obserwował Alberta, który nieustępliwie próbował odgrywać rolę życzliwego kompana, choć bez wątplenia nie czuł się już na siłach. Zasiadzieli się dłużej niż inni panowie i mieli teraz pokój tylko dla siebie. Albert wysączył sporo brandy i jego oczy były zamglone. Obok fotela stała prawie pusta butelka, Revell uznał, że wkrótce trzeba będzie zaprowadzić go do łóżka. Jeśli chce jeszcze dziś uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania, musi je zadać natychmiast, bo wkrótce senny Albert nie będzie zdolny skłecić sensownego zdania.

– Kim jest guwernantka twojej siostry? – zaczął z pozoru obojętnie, jakby niewiele go obchodziła ta panna – Co o niej wiesz?

– Guwernantka Clarissy? – Albert zmarszczył brwi, próbując zebrać myśli, żeby powiedzieć coś do rzeczy, choć pytanie wydawało się osobliwe – Ta zabiedzona dziewczyna?

– Owszem, mówię o paniencie sprawującej pieczę nad twoją siostrą – Jak on śmie wyrażać się lekceważąco o Sarze? A właściwie czemu ta uwaga wydaje się tak obraźliwa? – Moim zdaniem nie jest wcale taka zabiedzona.

Albert popatrzył na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

– Naprawdę? – zapytał. – Uważam, że nie ma na czym oka zaczepić.

– Mnie wpadła w oko. – Jakże mogłoby być inaczej, skoro niespodziewanie ujrzał ją niczym cielesną i dotykalsną zjawę z przeszłości. Zawsze była filigranowa i miała jasną cerę, bo w upalnym klimacie Indii wrodzone cechy Angielek często ujawniały się nader silnie. Gdy tańczyli, była w jego ramionach wiotka niczym elf, ale kiedy się całowali, pałała namiętnością. Jej uroda robiła na Anglikach z Kalkuty ogromne wrażenie,

toteż wszyscy zabiegali o życzliwy uśmiech. –Moim zdaniem jest... całkiem ładniutka.

Do diabła, cóż to za bezbarwne wyrażenie. Revell z pewnością nie kochał Sary, a przynajmniej nie tak, jak wielbił ją przed sześciu laty, lecz te słowa nawet w przybliżeniu nie oddawały tego, co poczuł na jej widok. Sam postarzał się tylko, natomiast ona jeszcze wypiękniała, a promienny urok młodziutkiej dziewczyny z upływem czasu ustąpił miejsca łagodnej kobiecej wytworności. Próbowwała ukryć urodę pod czarno-białym strojem, na płowe loki wcisnęła paskudny czepek, ale nie mogła pozbyć się rozświetlonych niebieskich oczu i pełnych ust stworzonych do śmiechu oraz niezliczonych pocałunków. Oto Sara we własnej osobie, wciąż piękna i upragniona, nadal straszliwie i beznadziejnie nieosiągalna.

– Mówią, że każda potwora znajdzie swego amatora –powiedział Albert, znowu sięgając po butelkę postawioną obok fotela. – Sądziłem, że zainteresujesz się raczej ponętą i pulchniutką Talbotówną, która podczas kolacji robiła do ciebie słodkie oczy.

Revell skrzywił się. Prawie nie zwracał uwagi na swoją sąsiadkę przy stole, aż wysunęła stopę z pantofelka i zaczęła nią bezwstydnie przesuwając po jego łydce.

– Nie rób takiej ponurej miny. Mogę się założyć, że na pewno przyjęłaby cię z otwartymi ramionami, Claremont, ale skoro wpadła ci w oko panna Blake, to całkiem inna para kaloszy. Nie miałem pojęcia, że zrobiła na tobie wrażenie.

Revell był jak rażony piorunem, gdy spostrzegł, że obok niego stoi Sara. Odwrócił wzrok i popatrzył na dziewczynkę, która trzymała ją za rękę. A Sara... Do diabła! Po prostu nie zwracała na niego uwagi... jakby nie istniał.

– To jej nazwisko? – W Kalkucie była Sarą Carstairs. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata nie mógł trafić na jej ślad. – Panna Blake.

– Owszem. Tak się nazywa. – Albert wzruszył ramionami i niezdarnie nalał sobie brandy do kieliszka. – Nudna, poczciwa Blake.

Revell zacisnął dłonie na podłokietnikach. Kiedy po inspekcji górskich kopalń wrócił do Kalkuty, zdecydowany natychmiast ogłosić zaręczyny, dowiedział się, że Sara wyjechała. Żona gubernatora, która miała za zadanie przekazać mu te wieści, była nadzwyczaj przyjazna i współczująca. Usłyszał od niej, że podczas minionego lata ojciec Sary zmarł nagle po ataku apopleksji spowodowanym niezwykle wysokimi upałami i wyjątkowym zapyleniem powietrza. Wkrótce po pogrzebie oraz zakończeniu postępowania spadkowego Sara uciekła z oficerem kawalerii. Razem odpłynęli do Anglii. Revell zapamiętał tamten dzień jako największy koszmar w całym swoim życiu.

– Masz pewność, że to panna? – zapytał, mając nadzieję, że Albert jest nazbyt pijany, by usłyszeć ton żalu w jego głosie. – Nie ma żadnego... pana Blake'a?

– Ależ skąd! – Albert z uśmiechem rozparł się wygodnie w fotelu. – Moja matka nie zgodziłaby się, żeby guwernantką Clarissy była mężatka. Blake jest panną. Zapewne ma jakieś imię, lecz go nie znam.

– A to czemu? – zapytał Revell. Uwagi Alberta powinny być mu właściwie obojętne, ale złościł się, ponieważ rozmawiali o Sarze. Jej pewnie wszystko jedno; na dobrą sprawę nie potrzebowała obrońcy. Wszystkie jej posunięcia świadczyły o tym, że potrafi bez niczyjej pomocy zadbać o swoje sprawy. Co za szczęście, że nie szukała także opieki tajemniczego oficera kawalerii. – Ta panienka mieszka i pracuje pod twoim dachem, prawda?

– Przecież to służąca, Claremont – odparł Albert. – Nie ma żadnego powodu, żebym znał jej imię. Nadzór nad służbą domową sprawuje matka. Chyba za długo żyłeś wśród pogan i zapomniałeś, jak się sprawy mają u nas w kraju.

– A może raczej zanadto pospieszyłem się z powrotem? – odparował Revell i wstał. W duchu przyznał rację Albertowi. Anglia to nie Indie, a przeszłości nie można zmienić w terażniejszość, choć bardzo tego pragnął. – Dzięki za brandy. Za dobre rady też.

Albert dobrodusznie machnął ręką na jego podziękowania, a potem zmarszczył brwi i usiadł z lekka wychylony do przodu.

– Claremont, mówiłem serio, podkreślając, że matka sprawuje nadzór nad służbą – dodał z powagą. – Byłaby oburzona, gdybyś próbował zbałamucić guwernantkę Clarissy. W tym domu nie ma mowy o flirtowaniu ze służącymi.

– Zapominasz chyba, do kogo mówisz. Jak ci wiadomo, flirty są mi z gruntu obce.

Revell wyszedł natychmiast, przerywając rozmowę, żeby nie zrazić do siebie przyjaznego gospodarza. Dość mu dzisiaj nagadał, toteż przeklinając półgłosem własną głupotę, odwrócił się plecami do schodów i zamiast do sypialni pomaszerował w głąb długiego, mrocznego korytarza. Był znużony, lecz nie zamierzał udać się na spoczynek. Głuche echo kroków uznał za ironiczne podkreślenie swojej samotności.

Kto by pomyślał, że Sara zaszyła się tu, w Ladysmith, i przyczajona w bezpiecznej kryjówce tylko czeka, aż on wyjdzie na opryskliwego aroganta i paplającego bzdury kretyna. Gdyby miał trochę oleju w głowie, natychmiast pożegnałby się pod byle pretekstem, żeby o świcie opuścić to miejsce. Ani rodzina Fordyce'ów, ani tym bardziej Sara nie przejmą się jego wyjazdem.

Powinien wyruszyć natychmiast. Mruczając pogardliwie, gwałtownym ruchem otworzył wysokie, dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na taras. Wokół rosły dorodne buki; latem goście i domownicy z pewnością chętnie tu przesiadywali, ale pod koniec grudnia drżące, nagie gałęzie wyglądały żałośnie, a przy bladej księżycowej poświacie ich cienie sprawiały dość upiorne wrażenie.

Mimo bezwietrznej pogody Revell natychmiast poczuł lodowaty chłód. Ale ucieszył się, że jest tak zimno, ponieważ to było konkretne odczucie. Wolnym krokiem szedł ku balustradzie, a świeży śnieg skrzypiał pod stopami.

Przy słabym świetle księżyca dostrzegł wśród zamazanych cieni sylwetkę, która natychmiast przyciągnęła jego spojrzenie. Ciemna peleryna zafalowała, gdy tajemnicza postać cofnęła się, jakby chciała przed nim uciec. Mimo wielkiego kaptura zarzuconego na głowę od razu rozpoznał amatorkę wieczornych spacerów. Wystarczyły trzy długie kroki, żeby znalazł się przy niej. Stała przy balustradzie i nie mogła się cofnąć. Zdesperowana westchnęła i usiłowała przemknąć obok niego. Kaptur zsunął się z głowy, odsłaniając twarz.

– Saro – powiedział Revell. W tym imieniu zawarł powitanie, stwierdzenie faktu, pytanie, prośbę i błagalną modlitwę. – Saro.

Zbita z tropu wstrzymała oddech, ale zaraz podniosła dumnie głowę na dowód, że nie da się zastraszyć, chociaż widział, że drży. Doskonale ją rozumiał, bo sam również cały dygotał.

– Dobry wieczór, milordzie – odparła.

No, tak... A na co liczył?

– Dobry wieczór, panno... panno Blake.

– Owszem. – Sara daremnie próbowała zachować srogą minę guwernantki, którą przybrała w salonie. Wpatrywała się w niego ogromnymi, rozmarzonymi oczyma, a długie rzęsy przy świetle księżyca rzuciły cienie na jej policzki. –Owszem, milordzie.

Chrząknął, a potem zakaszłał, chcąc ukryć zmieszanie. Z bolesną wyrazistością słyszał każdy niepotrzebny dźwięk. Niech to piekło pochłonie! Jak się teraz zachować, co powiedzieć, skoro go nie zachęciła? Obejdzie się bez tego, rzecz jasna. Nie dla nich wstępne zaloty, znaczące aluzje, a nawet niewinny flirt; dawno mieli za sobą te etapy znajomości. Powinni się teraz ograniczyć do uprzejmej pogawędki, właściwej między dwojgiem nowych lub starych znajomych.

Jednak zamiast przygodnej rozmówczyni stała przed nim

Sara. Usta miała rozchylone, wargi pełne niczym u naburmuszonej dziewczynki, upragnione, mile, niezapomniane.

– Mamy stąd niezwykle piękny widok, prawda? – rzekł i natychmiast skarcił się za brak inwencji. Stali przecież w nocnych ciemnościach na zmarzniętym śniegu, pod bezlistnymi gałęziami drzew i zimowym niebem hrabstwa Sussex. W półmroku widział nosek Sary poczerwieniały od mrozu. Przyszło mu również do głowy, że drży nie z obawy przed nim, a raczej z zimna. – Oczywiście jak na tę porę roku – dodał niepewnie.

Kiwnęła głową, jakby uznała tę uwagę za sensowną.

– Tak, milordzie, zimą też bywa ładnie.

Był jej wdzięczny, że nie drwi z jego głupoty. Zamilkł, chcąc uniknąć kolejnej kompromitacji.

Sara najwyraźniej miała podobne obawy, bo odwróciła wzrok od jego twarzy i wpatrzona w guziki jego płaszcza zaczęła pośpiesznie:

– Nie mogłam zasnąć, milordzie. Dlatego tu jestem. Proszę nie myśleć, że przyszłam za panem. Niech pan nie sądzi, że się narzucam. Błagam, musi pan zrozumieć, że wszystko co dawniej... było między nami, odeszło w przeszłość, a ja pod żadnym pozorem nie chcę tego zmienić.

– Nie – odparł pośepnie. – To znaczy tak, serdeczna zażyłość łącząca nas w Kalkucie istotnie należy do przeszłości.

– Owszem, milordzie. – Skwapliwie kiwnęła głową. – W Ladysmith nie wiedzą, jak żyłam dawniej, i byłabym wielce zobowiązana, gdyby zechciał pan... nikomu o tym nie wspominać.

Do jasnej cholery, czyżby aż tak wstydziła się ich znajomości?

– Wyszłam na świeże powietrze, bo jestem nieco podenerwowana, a nie chciałam obudzić panny Fordyce. – Sara nadal mówiła zbyt szybko. – Spacerowałam, żeby się uspokoić. Nie miałam innego powodu, bo jakież mógłby być, prawda, milordzie?

– Znalazłem się tu z tej samej przyczyny – oznajmił z udawanym ożywieniem, zdecydowany mieć w tej rozmowie ostatnie słowo, choć wiele go to kosztowało. – Dobrze jest przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza i ukoić nerwy. W tym celu wyszedłem na przechadzkę.

Sara poczuła ulgę i mówiła swobodniej, jakby uwolniona od rezerwy i nieufności stanowiącej dotąd najlepszą obronę.

– A zatem jest tak, jak pan sobie życzył – powiedziała cicho.

– Owszem – przytaknął. Starał się nie myśleć o niezliczonych podtekstach tej rozmowy.

– Bardzo się cieszę – ciągnęła. W końcu spojrzała mu w oczy. – Jest pan szczęśliwy?

– Raczej tak.

– W takim razie ja również czuję się szczęśliwa. – Jej oczy wyrażały tęsknotę, która przeczyła słowom. – Mamy dowód na to, że Gwiazdka to naprawdę czas cudów.

– Czyżby? – Energicznie machnął ręką, jakby chciał odegnać czające się w rozmowie niebezpieczeństwo. – Z pewnością nie w tym chłodnym i ponurym kraju.

Z niedowierzaniem przechyliła głowę na bok.

– Od kiedy to cuda wymagają słonecznej aury? To nie młode liście, którym potrzebna jest dobra pogoda.

– Naszym cudom towarzyszyła w Kalkucie wspaniała pogoda. Czy pamiętasz upały? Od samego rana było piekielnie gorąco, nie kładliśmy się więc przez całą noc, a o świcie jechaliśmy na przejażdżkę, bo potem konie słabły od skwaru. Wasz ogród przy Chowringhee Road był pełen cudów. Mieliliśmy tam pawie, złote błyskotki na twoich sukniach, palmy i żółte śliwki spadające ci na głowę.

– Chowringhee... – Wspólne wspomnienia przeniosły ich do tajemnego świata miłości i namiętności. Wstrzymał oddech, gdy Sara uśmiechnęła się smutno, ukazując śliczny dołek w policzku.

– Och, Revell, zawsze byłeś marzycielem i wędrowcem. Nie potrafiłeś oprzeć się pokusie, żeby sprawdzić, jakie magiczne sekrety kryją się za kolejnym pasmem gór widocznych na horyzoncie, prawda?

– Nie musiałem odmawiać sobie tej przyjemności. – On także się uśmiechnął, słysząc swoje imię. Kiedy Sara je wypowiedziała, zniknęły długie lata rozłąki. – Marzycielskie usposobienie i skłonność do włóczęgi nie są cechami szczególnie cenionymi u mężczyzn.

– W twoim wypadku to niewątpliwe atuty – odparła skwapliwie. – Nie przypomniałeś nigdy chciwych oficerów oraz nababów z kompanii,

pyszniących się uniformami. Potrafiłeś dostrzec niezwykle piękno Indii, zamiast myśleć tylko o złocie, które można tam zrabować.

– Za dużo o mnie wiesz, Saro – powiedział cicho. – I za dobrze mnie znasz.

– O tak, za dobrze – powtórzyła półgłosem i nagle spoważniała. – Ale ty za mało wiesz o mnie.

– W takim razie opowiedz, Saro – poprosił. – W imię tego, co nas dawniej łączyło, wyjaśnij mi, jak się tu znalazłaś, co cię czyni szczęśliwą lub zadowoloną. Mów śmiało, a ja przysięgam tego wysłuchać. Sama powiedziałaś, że na cud nie ma lepszej pory niż Gwiazdka.

Pokręciła głową i naciągnęła kaptur, zasłaniając twarz, jakby chciała się od niego oddzielić.

– Przepraszam, czas wrócić do panny Fordyce. Byłoby fatalnie, gdyby obudziła się pod moją nieobecność.

– Saro, błagam, poczekaj!

– Dobranoc, milordzie – rzuciła na odchodnym. – Dobranoc.

Milordzie... Cofnął się jak po ciosie. Jasno wyraziła swoje uczucia. Odprowadził ją wzrokiem, gdy uciekała od niego, biegnąc do drzwi. Ciemna peleryna rozwiewała się, ukazując białą spódnicę. Nie poszedł za Sarą.

Czego właściwie oczekiwał? Czyżby sądził, że wystarczy garść bezładnych wspomnień, żeby przełamać skrupuły, które skłoniły ją do zerwania, i usunąć wątpliwości rodzące się w jego sercu? Los zetknął ich ponownie, lecz być może nawet on nie zmieni tego, co między nimi się wydarzyło.

Musiałby rzeczywiście stać się cud.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Panno Blake? – zagadnęła ostrożnie lady Fordyce, trzymając ananasa w uniesionej dłoni. – Kochanie, źle się pani czuje?

– Nie, milady – zapewniła pospiesznie Sara, wracając do rzeczywistości, czyli niewielkiego pokoju będącego główną kwaterą chlebobawczyni, która niczym wytrawny generał miała swoje zaplecze potrzebne do przegrupowania sił i środków przed ważną kampanią. – Ananasy będą uroczą ozdobą kredensu.

– Mówiłam o kokardach, nie o ananasach – poprawiła lady Fordyce. – Na pewno nic pani nie dolega? Od rana niepokoi mnie to wyraźne roztargnienie.

Sara spłonęła rumieńcem, który zwracał uwagę przy cerze wyjątkowo bladej od samego rana.

– Proszę mi wybaczyć – odparta natychmiast. – Rzeczywiście jestem nieco rozkojarzona, ale to z radości. Tak na mnie działa przedświąteczna gorączka.

Lady Fordyce dość nieufnie przyjęła jej słowa. Nadal była zatroskana.

– Domyślam się, że winę ponosi Clarissa, która zamecza panią pytaniami, chcąc dowiedzieć się, co dostanie na Gwiazdkę.

Sara zdobyta się na wymuszony uśmiech. Jeśli wyglądała równie źle, jak się czuła, mogła sobie tylko pogratulować, że lady Fordyce nie wysłała jej natychmiast do sypialni, wzywając doktora.

Miała za sobą nieprzespaną noc. Uciekła przed Revellem i zostawiła go samego na tarasie, a potem nie zmrużyła oka. Do tej pory była głęboko przekonana, że udało jej się usunąć go z serca i myśli, ale wystarczył jeden uśmiech oraz garść wspomnień z Kalkuty, żeby poddała się miłemu uczuciu

radosnego ożywienia. Tylko on potrafił ją do tego stopnia uszczęśliwić. W tym momencie zdała sobie sprawę, jak beznadziejnie słaba i bezwolna jest wciąż w jego obecności.

Przez długie sześć lat nie zmądrzała ani trochę, jeśli chodzi o Revella Claremonta. Równie dobrze mogłaby natychmiast rzucić się w jego objęcia i błagać, żeby po raz wtóry złamał jej serce i znowu porzucił.

– Mam nadzieję, że w razie jakiegoś strapienia natychmiast dowiem się, o co chodzi – dodała lady Fordyce. Włożyła owoc do koszyka i wolną ręką dotknęła ramienia Sary. – Zwierzy mi się pani, jeśli będę mogła coś na to poradzić, prawda?

O tak, milady z pewnością byłaby dla mnie idealną powiernicą, uznała z przekąsem Sara. Od guwernantki sprawującej opiekę nad dobrze urodzoną panią wymagano nienaganej reputacji oraz dziewiczej skromności. Sara nie śmiała przyznać się pracodawcom, że większą część życia spędziła w Indiach, które zmuszona była opuścić w atmosferze towarzyskiego skandalu, więc tym bardziej nie mogła zdradzić, co ją łączyło z lordem Revellem Claremontem. Gdyby ujawniła któryś z tych sekretów, od razu straciłaby pracę, a na to nie mogła sobie pozwolić. Nawet dama o sercu tak czułym jak lady Fordyce nie zdecydowałaby się jej zatrzymać.

– Gdyby cokolwiek mi dolegało, natychmiast bym do pani przyszła. – Sara uciekła się do niedomówienia, a rozpromieniona lady Fordyce lekko poklepała ją po ramieniu.

– Miło mi to słyszeć. Ladysmith to szczęśliwy dom, wolny od tajemnic oraz intryg, chciałabym więc, żeby tak pozostało. Choć zbliża się Gwiazdka, moim zdaniem najwyższy czas, żeby Clarissa siadła do nauki.

Sara dygnęła i pospiesznie opuściła pokój. Udała się do biblioteki. Postanowiła już wcześniej, że dzisiejsza lekcja będzie dotyczyć

kartagińskiego wodza Hannibala i jego przejścia przez Alpy. Miała nadzieję, że temat przynajmniej na jakiś czas zainteresuje Clarissę w takim stopniu, żeby przestała myśleć o świętach i ekscytować się plotkami na temat Revella Claremonta.

Pełna zapału weszła do biblioteki. Na kominku żarzyło się kilka polan, by spragnieni lektury goście nie zmarzli, ale Sara była pewna, że będzie miała księgozbiór tylko dla siebie. Nie łudziła się, że zostanie w bibliotece Alberta Fordyce'a albo sir Davida. Obecni potomkowie rodu nie gustowali w lekturze i takie same były upodobania ich przyjaciół. Zdarzało się, że całymi tygodniami nikt poza Sarą nie wchodził do pomieszczenia zastawionego szafami i regałami oraz staromodnymi fotelami. Ostrożnie zdjęła z polki wielki tom historii Rzymu i położyła go na obciążonym skórą blacie stołu. Przewracała ciężkie stronicę, ciasno wypełnione kolumnami tekstu, szukając stosownych ilustracji. W końcu znalazła; rycinę przedstawiającą Hannibala oraz jego oddziały i słonie w czasie przeprawy przez Alpy. Pochylona nad książką w skupieniu czytała opis tamtego wydarzenia.

– Panna Blake – powiedział Revell. Barczysta postać nagle pojawiła się w drzwiach biblioteki. Odchrząknął, jakby chciał powtórnie zwrócić na siebie uwagę. – Dzień dobry pani. Nie sądziłem, że się tu spotkamy.

– Ja również, milordzie. – Sara była zaskoczona, ale nie dała się zbić z tropu i zachowała należną rezerwę. W bibliotece czuła się pewniej niż na tarasie zalany zwodniczą księżycową poświatą, której hipnotyczny wpływ tak dobrze przysłużył się wczoraj Revellowi.

Nawiasem mówiąc, nie było mu potrzebne żadne wsparcie, ponieważ, ku zgrzyocie Sary, w świetle dnia wydawał równie przystojny, jak przy księżycu.

– Niech się pani dziwi, że już tu jestem – powiedział, opierając się ramieniem o framugę. – Mam nadzieję, że nie daje pani wiary głupim plotkom, jakobym do świtu pił na umór i mimo nieprzespanej nocy rannem domagał się nowych rozrywek.

– Nie jest moją rzeczą słuchać salonowych ploteczek, milordzie – odparła Sara dość wyniośle, ale nie wydawała się urażona. Choć goście i domownicy ignorowali guwernantkę, słyszała mimo woli ich rozmowy dotyczące osławionego lorda Revella, ale nie miała ochoty przekazywać mu owych rewelacji. – W pokoju szkolnym powtarza się jedynie nowiny dotyczące kociąt znalezionych w stajni albo wyjątkowego puddingu szykowanego na kolację.

– Plotki na mój temat to stek nonsensów. – Revell westchnął. – Długo mieszkałem na obczyźnie i dlatego uznano mnie za notorycznego obieżyświata, który nie zasługuje na miano Anglika. Nauczyłem się języków ludzi, z którymi prowadzę interesy, stałem się więc podejrzanym krętaczem. Potrafię obronić się przed bandytami i złodziejami, toteż w opinii wielu ludzi jestem równie niebezpieczny, jak tamci złoczyńcy. Wiadomo, że Anglicy traktują nadzwyczaj podejrzliwie wszystko, czego nie są w stanie od razu zrozumieć, prawda?

Obciągnął mankiety koszuli i uśmiechnął się tak smutno, że jego twarz przez moment sprawiała wrażenie wykrzywionej bolesnym grymasem. Zdumiona Sara uświadomiła sobie, że to przydługie wyjaśnienie świadczy o zakłopotaniu większym od tego, które sama odczuwała. Niewątpliwie Revell zdawał sobie sprawę, że papie jak najęty, i klął w duchu, na czym świat stoi, ale jej wydał się przez to... uroczy.

– Ludzie patrzą na innych przez pryzmat własnych uprzedzeń – odparła cicho. Tego nauczyło ją życie. – Zwłaszcza jeśli ich wyobrażenia są bardziej ekscytujące od prawdy.

– Owszem – przytaknął Revell. – Dlatego Albert Fordyce oczekuje, że będę galopować po okolicy na jednym z jego płochliwych, nadzwyczaj rasowych wierzchowców, uganiając się dla sportu za wstydliwymi, rumianymi pięknosciami z angielskiej prowincji.

– Czyżby nie miał pan takich planów? – zapytała. Na widok jego obrażonej miny nie mogła się powstrzymać od lekkiej kpiny. – Rozczarował mnie pan, milordzie.

– Ach tak? Wszystkich zawodzę, prawda? – mruknął, podchodząc wreszcie do stołu i stając obok niej. – Pamięta pani na pewno, że do odwiedzenia waszego domu skłoniła mnie sława księgozbioru pani ojca.

Tak było w istocie. Sara długie godziny spędzała w ojcowskiej bibliotece, skulona w fotelu z wysokim oparciem, który kazała przysunąć do okna, żeby rozkoszować się najłżejszym powiewem wiatru. Czytała i marzyła o dalekich, na poły baśniowych krainach – Francji i Anglii.

Oddawała się owym zajęciom i tamtego dnia, gdy do biblioteki wszedł Revell w towarzystwie ojca. Nie chciała, żeby jej przeszkadzano, ukryła się więc za oparciem, znieruchomiła i wstrzymała oddech.

Revell jednak spostrzegł ją i uśmiechnął się tak promiennie, że zapomniała o niechęci. Dotąd nie spotkała w Kalkucie równie przystojnego Anglika i jak wszystkie miejscowe damy uległa natychmiast czarowi jego uśmiechu. Tego popołudnia okropnie się pokłócili o symbolikę „Kandyda” Woltera. Ojciec skarcił Sarę za brak gościnności. Wkrótce zdała sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze, żeby pokochać Revella Claremonta. Jego z kolei fascynowało odczytanie uroczej panny oraz jej rozkwitająca

uroda. Niebawem Sara przekonała się, że przystojny młodzieniec jest nie tylko wybornym słuchaczem, lecz także wspaniale całuje.

Spotkanie w bibliotece przywołało słodkie i smutne wspomnienia, ale wzmianki o ojcu wprawiły ją w zakłopotanie, żeby więc to ukryć, zajęła się znowu wyprawą Hannibala. Śmierć nieszczęsnego taty zmieniła wszystko. Jakże inaczej potoczyłyby się losy, gdyby umarł w innych okolicznościach, a ona nie musiała uciekać z Kalkuty przed niesławą i pod zmienionym nazwiskiem pracować jako guwernantka. Ile z tych sekretów zna Revell i co gotów jest puścić w niepamięć?

– Czy wiadomo pani, że gdy licytowano ruchomości pana Carstairsa, kupiłem egzemplarz „Kandyda” z jego biblioteki? – zapytał Revell, wodząc palcem po skórzanej okładce książki rozłożonej przed nimi na stole. – Ten z plamami od porannej rosy, który zostawiła pani raz w ogrodzie. Wyjechała pani, nim doszło do licytacji. Chciałem mieć jakąś pamiątkę, która by mi przypominała o spędzonych razem dniach.

– Wrócił pan do Kalkuty przed aukcją? – spytała zdumiona. – To niemożliwe! Powiedziano mi przecież...

– Jestem, panno Blake! – zawołała Clarissa, wpadając do biblioteki z takim impetem, że świąteczne czerwone kokardy podskakiwały w jej włosach. – Mama powiedziała, że tu panią znajdę. A co pan tutaj robi, lordzie Revell?

– I ja cieszę się z naszego spotkania. Dzień dobry, panno Clarisso – odparł z naciskiem, dając zakłopotanej Sarze czas, żeby ochłonęła. – Jak widzisz, pomagam twojej nauczycielce przygotować dzisiejszą lekcję.

Dziewczynka posmutniała i westchnęła z rezygnacją. Sprawiała wrażenie mocno zawiedzionej, bo oczekiwała zapewne ciekawszego wyjaśnienia.

– Czego ma dotyczyć ta lekcja, milordzie?

– Omówimy dokonania kolejnego antycznego wodza – powiedziała skwapliwie Sara. – W jednej z książek twego ojca znalazłam rycinę przedstawiającą słonie, których użył Hannibal, przeprawiając się przez Alpy podczas marszu na Rzym.

– Naprawdę? – Zaciekawiona dziewczynka podbiegła, stanęła obok niej i zajrzała do otwartej książki. – Podobają mi się słonie. Mają takie zabawne trąby.

– Szkoda tylko, że rysownik nie wiedział, jak się dosiada stoma – wtrącił krytycznie nastawiony Revell, przysuwając się do Sary, która znalazła się nagle między nim i Clarissą.

Patrzył w otwartą książkę, ale dłonią niby przypadkowo dotknął jej ręki, gdy wskazywał palcem słoniową trąbę na rycinie. Sara wiedziała, że robi to umyślnie. Wystarczyło leciutkie dotknięcie, żeby przebiegł ją znajomy dreszcz, choć wolałaby tego nie odczuwać.

– Ten nieszczęsny poganiacz równie dobrze mógłby usiąść na zjeżdżalni. Słonia dosiada się całkiem inaczej – ciągnął Revell, marszcząc brwi, żeby dodać powagi swoim wywodom. – Zanim by się spostrzegł, zostałby zrzucony i koziołkowałby po zboczu aż na sam dół.

– Naprawdę? – dopytywała się Clarissa. Oczy miała okrągłe ze zdumienia. – Zatrzymałby się dopiero na dole?

– Ma się rozumieć – zapewnił uroczyście. – Błyskawicznie zleciałby z górki na pazurki, a słoń śmiałby się do rozpuku.

– Artyści mają prawo do pomyłki, milordzie – wtrąciła pospiesznie Sara z obawy, że Revell nieopatrznie powie za dużo, jeśli się go w porę nie powstrzyma. Wiadomo, kto poniósłby fatalne konsekwencje takiej paplaniny. – Muszą korzystać z cudzych relacji, bo nie są w stanie zobaczyć

na własne oczy tego, co przedstawiają. Trudno ich winić, że efekty takich wysiłków bywają niekiedy dyskusyjne.

– Dyskusyjne? – powtórzył Revell, unosząc brwi, jakby zdumiał się niezmiernie jej uwagą. – Moim zdaniem są dziwaczne. Jeśli podejdzie pani do tego uczciwie, z pewnością przyzna mi pani rację. Wiadomo pani, jak wygląda prawdziwy słoń.

– Wiem także, jak pachnie – dodała pogodnie – choć ten szczegół nie ma znaczenia dla naszej rozmowy,

– Wręcz przeciwnie, panno Blake – wtrąciła Clarissa, tuląc policzek do jej łokcia. – Jeśli słonie brzydko pachną, dlaczego Hannibal postanowił zabrać je na wyprawę?

– Bo są wielkie, silne i wytrzymałe na trudy – tłumaczyła Sara, zdecydowana definitywnie zakończyć wątek słoniowej woni. – Bardzo przydają się wojsku.

– Panna Blake dużo wie o słoniach – dodał Revell, uśmiechając się do wystraszonej Sary. – Wątpię, żeby w Susseksie, a nawet w całej Anglii znalazła się druga nauczycielka równie obeznana z tymi zwierzętami.

– Panna Blake? – upewniła się Clarissa. Słowa Revella zrobiły na niej ogromne wrażenie, ale nie była pewna, czy może mu wierzyć. – Gdzie się tego nauczyła?

– Z mądrych książek – wtrąciła pospiesznie Sara, uprzedzając wyjaśnienia Revella, którego rewelacje mogłyby się okazać kłopotliwe. Niech go diabli porwą! Jak śmiał tak się z nią droczyć! Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że naraża ją na poważne niebezpieczeństwo? – Lektura daje odpowiedź na wszelkie pytania.

Clarisse bardziej interesowały teraz słonie niż korzyści wynikające z czytania książek.

– Powinnyśmy umieścić słonie między girlandami mojej mamy – oznajmiła, uśmiechając się do Revella. – Panna Blake i ja mamy ozdobić salę balową. To nasze specjalne zadanie. Będzie szopka z trzema królami na wielbłądach, ale teraz myślę, że powinni raczej jechać na słoniach.

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł – powiedziała z powątpiewaniem Sara. Gusta lady Fordyce były wyjątkowo tradycyjne i na pewno nie zachwyciłaby się słomami, nawet jeśli będą to figurki wycięte z kartonu, pomalowane kolorowymi farbami, kroczące po kominkach i kredensach wśród srebrnych świeczników, gałązek ostrokrzewu oraz bukszpanu.

– Dlaczego, panno Blake? – wypytywał żartobliwie Revell. – W Biblii często jest mowa o słoniach, prawda? Wspomniane są również tygrysy.

– Tygrysy! – zawołała na cały głos uradowana Clarissa. – Tygrysy na Gwiazdkę!

Revell kiwnął głową. Szelmowski błysk w jego oczach wprowadził w zdumienie Alberta oraz innych kompanów.

– Nie ma na nie lepszej pory, co? Można by dodać ze dwie mangusty. Tak się składa, że panna Blake sporo o nich wie.

– Musi pan nam pomóc, lordzie Revell – oznajmiła Clarissa tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Dziś po południu czekamy w pokoju szkolnym. Wyjaśni pan, jak wyglądają te zwierzęta. Pomoże nam pan je wyciąć i pomalować, a jutro ozdobimy nimi salę balową.

– Clarisso, lord Revell ma inne plany – wtrąciła Sara, modląc się w duchu, żeby odmówił. – Z pewnością woli towarzystwo twego brata oraz innych panów. Wątpię, żeby mu się chciało pomagać nam w robieniu dekoracji.

– Nie mam nic przeciwko temu – oznajmił Revell i położył dłoń na sercu z taką galanterią, że uradowana Clarissa zachichotała. – Nie potrafię wyobrazić sobie miłszego spędzenia czasu niż urocze popołudnie z dwiema ślicznymi paniami.

– Zbytek łaski, milordzie – zauważyła Sara. – To poświęcenie naprawdę nie jest konieczne.

– Powtarzam, że taka jest moja decyzja. Postanowiłem unurzać się w kleju i farbie, bo zależy mi na wykonaniu tych słoni, tygrysów oraz mangust. – Twarz mu złagodniała, gdy ponad głowę Clarissy spojrzął Sarze w oczy. – Poza tym Boże Narodzenie to czas magii i cudów, prawda?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Revell stał w oknie sypialni i obserwował dwie postaci, które zmierzały ku domowi, klucząc po zaśnieżonym ogrodzie. Na tle zimowego krajobrazu, wśród dominującej czerni i bieli, stanowiły wyraźny kontrast: dziewczynka w jasnej, kardynalskiej czerwieni i niebieskich mitenkach oraz kobieta okryta ciemnozielonym płaszczem. Revell zresztą wypatrzyłby je od razu nawet w londyńskim tłumie, na zatłoczonej ulicy.

– To pewnikiem nasza panienka i jej guwernantka, milordzie – wyjaśniła służąca, która stawiała właśnie tacę na stoliku przy oknie i odruchowo spojrzała w tę samą stronę, co Revell. – Nie bacząc na pogodę, spacerują o stałej porze, regularnie jak w zegarku, po pierwszej lekcji.

Revell już o tym wiedział, bo nie zastał pań w szkolnym pokoju, gdy zgodnie z obietnicą przyszedł tam, żeby pomóc w przygotowaniu figurek tygrysów i słoni. Spłoszona pokojówka wyjaśniła, że panienka Clarissa o tej godzinie wychodzi na spacer. Musiał powściągnąć niecierpliwość i odczekać pół godziny, aż wróca. Bez większego zainteresowania zmierzył spojrzeniem pokrojoną w plastry pieczeń na zimno, kromki chleba i ser, które kucharz przysłał mu na górę.

Zdawał sobie sprawę, że w Ladysmith zaczyna uchodzić za dziwaka. Pozostali goście rozjechali się po okolicy. Dżentelmeni pod wodzą Alberta i sir Davida odwiedzali miejscowe gospody, a damy pod przewodem lady Fordyce, wraz z krawcowymi i modystkami, dokonywały ostatnich poprawek w balowych kostiumach. Gdy zaproponowano Revellowi przyłączenie się do jednego z szacownych towarzystw, odmówił uprzejmie, lecz stanowczo. Pewnie wszyscy teraz zawzięcie plotkowali, zachodząc w głowę,

co za rozrywki przedłożył nad wspólną wyprawę. Jakże będą zdziwieni, gdy wreszcie poznają prawdę.

– Trzeba przyznać, milordzie, że panna Blake dokonała cudu, jeśli idzie o naszą panienkę – dodała z uznaniem służąca, uznawszy milczenie Rewella za zachętę. – Przedtem było z niej istne diablątko, ale odkąd nastąpiła do nas panna Blake, humory przeszły panience, jak ręką odjął. Rzecz jasna, po to się bierze guwernantkę, ale trzeba przyznać, że ta nasza zrobiła z panienki małą damę, jak się należy wedle urodzenia.

– Długo panna Blake jest w tym domu? – zapytał Revell, starając się udawać znudzonego. Był świadomy, że błędem jest zachęcanie służby do takiej poufałości, lecz od Alberta niczego się nie dowiedział, a rzecz była dla niego wielkiej wagi.

– Na wiosnę minie pięć lat, milordzie – odparła skwapliwie służąca, splatając dłonie na podołku. – Wcześniej była u lady Gordon, której mąż zarobił krocie w Indiach. Prawdziwy z niego nabab, z przeproszeniem waszej lordowskiej mości, bo to przecież nic złego. Uchowaj Boże, żebym była impertynencka.

– Nie czuję się urażony – odparł z roztargnieniem Revell, analizując usłyszane rewelacje. Pamiętał z Kalkuty lady Gordon, którą w niewielkim kręgu towarzyskim Anglików zwano Gorgoną z powodu wyniosłych manier i władczego usposobienia. Jej mąż przeszedł na emeryturę, zakończył służbę w kompanii i wrócił do kraju. Dlaczego Sara poszła na służbę do Gordonów? Czemu tak nagle opuściła Indie? Dlaczego tak spieszo jej było go porzucić?

– Zapewne obie panie znały się jeszcze w Indiach.

– Co też pan! Nasza panna Blake miałyby żyć wśród tamtych dzikusów, milordzie? – Służąca była wstrząśnięta. – Ależ milordzie, to

porządna angielska dziewczyna, a nie jakaś szalona, śniada latawica z kolonii. Bez urazy, wasza lordowska mość, ale jaśnie pani nigdy by nie zatrudniła w swoim domu panienki, co żyła dawniej między poganami.

– Rozumiem – odparł Revell i rzeczywiście pojmował więcej, niż chciała powiedzieć służąca. Zapomniał, jak silne są w Anglii uprzedzenia wobec kobiet decydujących się na wyjazd do Indii. Tym bardziej nieufnie odnoszono się do tych, które jak Sara urodziły się w zamorskiej kolonii. Nie dane jej było wrócić do kraju dla odbycia typowej brytyjskiej edukacji, którą otrzymywały niemal wszystkie panny z dobrych domów, ponieważ owdowiały ojciec cierpiał na samą myśl o długim rozstaniu. Gdy Revell w obecności Clarissy droczył się z Sarą, mówiąc o słoniach i tygrysach, chciał tylko przywołać wspólne wspomnienia sprzed lat. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mimo woli naraził ją na ewentualną utratę dobrej reputacji oraz środków do życia.

– Czy to już wszystko, milordzie? – zapytała służąca i dygnęła, mnąc w palcach rąbek fartucha.

– Tak, tak, dziękuję – odparł Revell. Przyszło mu na myśl jeszcze jedno pytanie.

– Co do panny Blake... Nie była i nie jest zamężna, prawda?

Służąca uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Milordzie, jakżeż by mogła wziąć ślub i nazywać się panienką? Nic mi nie wiadomo o mężu, wielbicieli też nie widać, przynajmniej odkąd tu służy. Wasza lordowska mość, to jest dobra, cicha dziewczyna, prawdziwe błogosławieństwo dla tego domu.

– Dziękuję, to już wszystko – powiedział, stając twarzą do okna. Sara i Clarissa zapewne weszły już do środka, bo ślady stóp wiodły przez

dziejnec ku tylnym drzwiom. Postanowił wkrótce zajrzeć powtórnie do pokoju szkolnego, pewny, że je tam zastanie.

I co wtedy? Od służącej dowiedział się sporo o przeszłości Sary, ale nie chciał już nikogo brać na spytki. Czym innym było poszukiwanie zaginionej i śledztwo w sprawie nagłego zniknięcia, a czym innym wypytywanie za plecami, skoro łaskawy los zetknął ich znowu pod jednym dachem. Powinien sam ją zapytać, otwarcie i bez żadnych sztuczek. Inne sposoby za bardzo przypominały haniebne szpiegowanie, a Sara zasługiwała na szczerą niezależnie od tego, co będzie potem.

Nadal przyglądał się krętej ścieżce wydeptanej w śniegu. Dotknął lekko kamizelki, gdzie w kieszonce spoczywał pierścionek z szafirem. Sara żartobliwie mówiła o gwiazdkowych cudach, lecz nie da się ukryć, że przypadkowe spotkanie po sześćoletniej rozłące to prawdziwy cud przekraczający najśmielsze marzenia.

Kto wie? Może dlatego coś go ciągnęło do Ladysmith. Przeznaczenie kazało mu opuścić Londyn, zrezygnować ze świątecznego pijaństwa u Branta i spotkać Sarę. Lata spędzone w Indiach zachwiały jego typową dla Anglików wiarą, że świat jest logicznie urządzony. Zamiast szukać związków przyczynowo– skutkowych, zdał się na przeczucia i wyroki losu.

Ale i one nie tłumaczyły, dlaczego Sara opuściła go przed sześciu laty i czemu tak mu teraz spieszo, żeby ponownie narazić się na niebezpieczeństwo porzucenia. Dawne uczucie odżyło w nim, ale ona nie była szczególnie uradowana ich spotkaniem. Rozrzewniła się nieco, ale nie przejawiała większej ochoty, żeby dla niego rzucić posadę guwernantki. Ta myśl otrzeźwiła Revella i podziałała na niego dość przygnębiająco. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że w obecności Sary czuje się szczęśliwszy,

młodszy, zadowolony z życia i pełen wigoru. Tylko przy niej był w zgodzie ze sobą i światem.

Stara miłość nie rdzewieje:

Uśmiechnął się smutno i poklepał kieszonkę kamizelki. Miał tylko jedno wyjście: musiał poprosić Sarę, by wszystko mu wyznała, a potem niech się dzieje, co chce.

Trzeba tylko mocno wierzyć, że cuda się zdarzają.

Sara nie wątpiła nigdy, że Revell Claremont to dżentelmen o niezliczonych talentach i umiejętnościach. Był świetnym jeźdźcem; łatwo radził sobie z końmi i słomami. Doskonale strzelał, uchodził także za mistrza fechtunku. Potrafił walczyć zakrzywioną szablą nepalskich Gurkhów zwaną *kookree* i angielskim kordem. W przeciwieństwie do wielu młodzieńców z książęcych rodów od czternastego roku życia był całkiem samodzielny, a majątek zrobił przed ukończeniem dwudziestu jeden lat. Oczytany jak profesor uniwersytetu, mówił płynnie pięcioma językami, a kłął nadto w kilku innych. Czasami okazywał uprzejmość i takt wytrawnego dyplomaty, ale walczył też do upadłego jako twardy negocjator i sprytny kupiec. Umiał postawić na swoim w nędznym namiocie bengalskiego przemytnika i wśród równie bezwzględnych urzędników Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Teraz Sara poznała jego słabą stronę: okazał się bezradny, kiedy dano mu nożyczki, klej z mąki oraz stos arkuszy kolorowego papieru.

– Nie tak, milordzie – strofowała Clarissa, patrząc z niesmakiem na łeb tygrysa przyczepiony do tułowia pod dziwnym kątem, a także na paskudną kroplę mącznego kleju u szyi zwierzęcia, ledwie widocznej z powodu niefortunnego przechylenia głowy. – Żle pan to przyklepił.

– Naprawdę? – Zasmucony Revell przyglądał się tygrysowi, lekceważąc plamę z kleju na rękawie eleganckiego surduta. Uparł się, że usiądzie obok Clarissy przy dzieciennym stoliku. – Chciałem, żeby wyglądał bardziej zawadiacko.

– Ale nie wygląda – ucięła Clarissa. – Jest do niczego.

Uznała, że argumenty zostały wyczerpane, wyciągnęła rękę Revellowi przed nosem, chwyciła tygrysa i umieściła nieszczęsny łeb w pozycji łatwiejszej do zaakceptowania przez uczonych anatomów, a przy okazji starła nadmiar kleju.

– Proszę bardzo – powiedziała, stawiając tygrysa na czterech łapach. – Teraz ujdzie. Mama jest bardzo skrupulatna, milordzie. Nie życzy sobie, żeby salę balową zaśmiewały rupiecie. Sama by to panu powiedziała.

– Ale zrobiłaby to uprzejmiej, Clarisso, i z pewnością nie uraziłaby jego lordowskiej mości – wtrąciła Sara. – Nie śmiała spojrzeć na naburmuszonego Revella, który siedział z kolanami pod brodą. Bała się, że wystarczy jedno spojrzenie i zacznie chichotać. – Jego lordowska mość był łaskaw zaproponować pomoc.

– I na nic się nie przydał. On wszystko psuje – oznajmiła niewdzięczna Clarissa, wstając i biorąc się pod boki. – Najpierw obciął ucho cudnemu słoniowi, którego pani narysowała. Potem zapomniał wymyć pędzel umoczony w czerwonej farbie i wpakował go do niebieskiej, która zrobiła się ohydnie fioletowa, a teraz zmarnował tygrysa, krzywo przyklejając mu głowę.

– Clarisso – rzuciła Sara ostrzegawczym tonem. – Uważam jednak, że powinnaś natychmiast przeprosić lorda Revella.

– Nie trzeba. – Winowajca westchnął pokornie. – Ma rację. Pomieszałem farby.

– Nie w tym rzecz. – Sara z groźną miną popatrzyła na dziewczynkę. – Clarisso, przeprosiny.

Dziewczynka westchnęła ciężko, opuściła ręce i dygnęła niedbale.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie, że byłam dla pana niegrzeczna. To nie pańska wina, że okazał się pan okropnym niezdara. Taki pan jest i tyle.

– Wiem – przyznał Revell, próbując zeskrobać klej z rękawa. – Trudno ze mną wytrzymać, prawda? Może panna Blake znajdzie na to radę i wymyśli zadanie, które śmiało mi powierzycie. Ma pani jakiś pomysł?

Przybrał minę winowajcy, ale oczy miał wesole. Sara od razu poznała, że z trudem opanowuje śmiech. Czuła, jak budzą się w nich obojgu ciepłe uczucia, i mimo woli też poweselała.

Gdyby pobrali się zgodnie z przewidywaniami, jako mąż i żona mieszkaliby teraz we własnym domu, zamiast gościć i pracować u obcych. Śmieliby się do rozpuku otoczeni własnymi dziećmi, planując święta w rodzinnym gronie, razem lepiąc i malując pokracczne zwierzęta, dzieląc miłość, szczęście i wzajemną ufność.

Och Saro, Saro, bądź ostrożna! Uśmiech nie jest obietnicą na przyszłość ani wytłumaczeniem przeszłości. Pamiętaj, że odkąd Revell cię rozpoznał, ani razu nie powiedział, że kocha...

– Czy lord Revell mógłby robić łańcuchy, którymi ozdobimy lustra? Chyba potrafi, panno Blake – zaproponowała Clarissa. – Nawet zupełne maluchy dają sobie z tym radę. Proszę zobaczyć, milordzie, jakie to proste. Tnie się paski papieru i łączy w ten sposób. – Z powagą i skupieniem uczyła Revella, jak należy łączyć papierowe ogniwa. Można by pomyśleć, że wyjaśnia trudną i skomplikowaną procedurę. – I tym razem trzeba użyć kleju, ale łącza idą do środka, więc jeśli nawet kapnie się panu za dużo, nikt tego nie zauważy.

– Słucham i jestem posłuszny, *memsahib* – powiedział Revell, skwapliwie pochylając się nad kolorowymi paskami. Tym razem szło mu lepiej niż z klejeniem zwierząt, ponieważ, jak słusznie zauważyła Clarissa, nawet zupełny maluch potrafi robić łańcuchy.

Bystra dziewczynka słuchała uważnie i natychmiast wychwyciła nieznane słówko.

– Jak pan mnie nazwał? – zapytała – *Mem...* co?

– *Memsahib* – odparł, zajęty mieszaniem kleju z mąki. – Tak w Indiach trzeba zwracać się do szlachetnie urodzonych pań, żeby okazać im należny szacunek.

– *Memsahib* – powtórzyła Clarissa, wsłuchując się w brzmienie obcego wyrazu. – Zna pan więcej hinduskich słówek?

– Och, całe mnóstwo – odparł chętnie. – Sukienka to *sari*. Bal twojej mamy można określić jako *burra khana*, natomiast panna Blake jest twoją *ayah*.

Sara roześmiała się, ale kręciła nosem.

– Chyba nie mam ochoty zostać *ayah*. Wszystkie, które znam, były podstarzałe, krzykliwe, wiecznie zniecierpliwione i często szczypały po rękach, żeby wymusić posłuszeństwo.

– Naprawdę spotkała pani te *ayah*? – wypytywała zaintrygowana Clarissa. – Czy zna je pani tylko z książek?

– Naturalnie to drugie – wtrącił Revell, przytomnie ratując Sarę z opresji. – Za to ja raczej w Kalkucie niż w Londynie czuję się jak u siebie w domu.

– Teraz rozumiem, skąd zna pan tyle obcych słów – odparła Clarissa, pochylając się nad jego dziełem. – Doskonale pan sobie radzi, milordzie. Łańcuch jest prawie idealny. Położę go z innymi.

Starannie zwinęła ozdobę i zaniósła w drugi kąt pokoju, gdzie ułożone były dekoracje. Po drodze zatrzymała się, podziwiając figurki zwierząt.

– Musimy porozmawiać, Saro – powiedział Revell cicho i natarczywie. Dotknął jej ramienia. – Kiedy możemy spotkać się sam na sam?

Zaskoczona, spłonęła rumieńcem i cofnęła rękę.

– Nie powinniśmy, Revell – szepnęła. – Wieczorem na tarasie... powiedzieliśmy sobie dość...

– Ależ skąd! – przerwał. – Dziś wieczorem, gdy Clarissa zaśnie. Powiedzmy o dziesiątej, przy tych samych drzwiach wychodzących na taras.

– Revell, błagam, przestań...

– Nie przyjmę odmowy, Saro – odparł stanowczo. – Dziś wieczorem na tarasie. Nie zawieźdź mnie.

Nim Sara zdążyła odpowiedzieć, drzwi pokoju szkolnego otworzyły się szeroko i do środka weszła lady Fordyce.

– Popatrz, córeczko, co przywiozłam ci z miasta! – zawołała radośnie. W rękę trzymała wymyślną maskę ozdobioną cekinami i czerwonymi piórkami. – Idealnie pasuje do twego przebrania... O mój Boże! Lord Revell? Ależ mnie pan wystraszył.

Przerażona Sara zamarła w bezruchu. Miała pustkę w głowie. Jak wytłumaczyć lady Fordyce, dlaczego lord Revell jest w tym pokoju i skąd między nimi taka poufałość?

Revell miał gotowe wyjaśnienie.

– Przestraszenie pani nie było moim zamiarem – odparł, trwając dzielnie u boku Sary, jakby ich bliskość wydawała się oczywista. – Pomagałem pani córce robić słonie.

– Słonie? – powtórzyła wyraźnie zbита z tropu lady Fordyce.

– Tak! Popatrz, mamusiu! – Rozpromieniona Clarissa w jednej ręce trzymała papierowego słonia, a w drugiej tygrysa. – Ozdobimy nimi salę balową. Panna Blake i ja kleimy zwierzęta, a lord Revell kolorowe łańcuchy.

– Nawet maluch to potrafi – wtrącił skromnie Revell. Podszedł do stolika z gotowymi dekoracjami i pokazał swoje dzieło.

– Panno Blake, słonie i tygrysy mają zdobić salę balową podczas maskarady?

Sara energicznie kiwnęła głową, zadowolona, że rozmowa zmierza w tym kierunku.

– Owszem, milady. Źródłem inspiracji była nasza lekcja historii starożytnej.

– Nauka to jedno – odparła lady Fordyce, coraz bardziej zasepiona – a maskarada to zupełnie co innego.

– Ależ, milady, wybór motywów dekoracyjnych jest doskonały – zapewnił Revell, nonszalancko kołysząc łańcuchami. – Czy wiadomo pani, że u księcia Walii wszystkie ściany ozdobione są pawiami i tygrysami, a mój brat kazał odnowić jadalnię w Claremont House i wymalować tam roześmiane małpy?

– Pański brat? Sam książę? – upewniła się lady Fordyce wpatrzona w słonia trzymanego przez córkę. Teraz spojrzała na niego inaczej. – Jego wysokość hołduje tej modzie? Następca tronu również?

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby dzięki pani moda na egzotykę zawitała także do Susseksu. A wszystko z powodu lekcji córki – powiedział Revell, uśmiechając się do Sary, jakby w podzięcie za doskonały pomysł.

W jego spojrzeniu było tyle ciepła, że słowa nabrały ukrytego znaczenia, jakie jedynie ona mogła odgadnąć, a zarazem przypomniały o wieczornym spotkaniu, którego zażądał.

– Bez wątpienia zdaje pani sobie sprawę, milady, że w Anglii największym wzięciem cieszyć się będzie teraz wszystko, co indyjskie – ciągnął, nie odwracając wzroku i nie pozwalając na to Sarze. – Zwłaszcza w czasie nadchodzących świąt.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sypialnię znajdującą się piętro wyżej niż pokój dziecienny oświetlała jedna świeca. Przy jej nikłym blasku Sara ostami raz przejrzała się w małym lusterku nad umywalnią. Odniosła wrażenie, że jej oczy jaśnieją szczęściem, a usta chętniej się uśmiechają. Czy to pobożne życzenie lub złudzenie wywołane słabą, migotliwą poświatą? Może obecność Revella nie ma z tą przemianą nic wspólnego?

Musnęła palcem pochyloną głowę papierowego tygrysa. Przed wyjściem z pokoju szkolnego ukryła go w kieszeni. Stał teraz na ramie lusterka. Z uśmiechem pogładziła kark twardy od mącznego kleju i ubawiona wspominała, z jaką determinacją Revell usiadł w niskiej szkolnej ławce. Na jutro zaplanowano dekorowanie sali balowej i Sara postanowiła solennie, że odda tygrysa i położy go z innymi dekoracjami. Trudniej będzie podjąć decyzję, jak ma zachować się wobec Revella.

Z korytarza dobiegło echo zegara bijącego dziesiątą. Raz jeszcze szybko przyglądała włosy. Zbyt długo marudziła. Skoro postanowiła spotkać się z Revellem – tylko na chwilę – nie powinna zwlekać.

Zbiegła po schodach najciszej, jak potrafiła, aby nikt z gości i domowników nie zorientował się, że czuwa. Zresztą w domu pełnym ludzi mało kto zwracał na nią uwagę. Służba krzątała się w kuchni i podawała przekąski, a radosne wybuchy śmiechu dobiegające z salonu stanowiły dowód, że zebrane tam wytworne towarzystwo bawi się doskonale i uda się na spoczynek najwcześniej o północy. Sara przylgnęła do ściany, robiąc przejście dwu zaferowanym lokajom, którzy przebiegli obok niej, niosąc tace pełne smakołyków.

Jeszcze jeden zakręt, potem trzeba przeciąć hol, myślała, otulając się peleryną, i będę przy drzwiach wychodzących na taras, gdzie czeka Revell. Zdecydowała się powiedzieć mu prawdę, choć była świadoma, że to wyznanie nie będzie dla niej łatwe. Trzeba ująć rzecz krótko, a potem...

– Panna Blake! – krzyknęła zdyszana lady Fordyce, biegnąc za nią korytarzem. – Och, moja droga, co za szczęście, że pani jeszcze nie śpi!

Sara przystanęła i z obawą czekała na kolejne słowa chlebobawczyni. Najchętniej umknęłaby natychmiast, lecz gdyby udała, że nie słyszy wołania, miałyby potem wyrzuty sumienia.

– Nie mogłam zasnąć, milady. Zamierzałam właśnie pospacerować chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem – wytłumaczyła się machinalnie, zawiedziona, że los jej nie sprzyja. Lady Fordyce podeszła bliżej.

– Co za szczęście, że spotkałyśmy się, nim pani wyszła. – Okrągła twarz pani domu poczerwieniała od nieustannej krzątaniny oraz wina sączonego podczas kolacji. Lady Fordyce energicznie chwyciła Sarę za ramię i pociągnęła do salonu, udaremniając wszelkie próby ucieczki.

– Panna Talbot chce zaśpiewać, ale żadna z pań nie umie sobie poradzić z opornymi klawiszami naszego starego fortepianu. Ale mamy panią, urodzoną akompaniatorkę. Musi pani zagrać dla panny Talbot. Proszę za mną. Pospieszmy się, moja droga. Nie chcę, żeby tak znakomite towarzystwo zbyt długo czekało na obiecane pieśni.

Bezradna Sara pomyślała o Revellu, który dziś się jej nie doczeka. Nie miała żadnego przekonującego argumentu, żeby odmówić lady Fordyce, a gdyby odważyła się jej sprzeciwić, mogłaby nawet stracić posadę. Z ponurą miną pochyliła głowę i posłuszna wyrokom losu zasiadła do fortepianu.

Nie przyszła.

Revell ponad godzinę czekał na tarasie, nie bacząc na chłód ogarniający go mimo ciepłego płaszcza. Stopniowo tracił nadzieję na upragnione spotkanie. Przyszedł dużo wcześniej, żeby nie rozminąć się z Sarą. Czekał dłużej, niż wypadało, bo łudził się, że w końcu przyjdzie. Stał na tarasie, aż stracił czucie w lodowatych dłoniach, a zziębnięta twarz znieruchomiała w ponurym grymasie niczym maska. Zrezygnował dopiero wtedy, gdy mu zabrakło argumentów usprawiedliwiających jej nieobecność.

– Nie przyszła, bo po prostu jej na nim nie zależy.

Siedział teraz przy śniadaniu, apatycznie pogryzając świeżą bułeczkę i dziobiąc widelcem jajecznicę. Nie zwracał uwagi na innych gości, którzy gawędzili pogodnie o wszystkim i o niczym. Zastanawiał się, jak spędzić czas dzisiaj i przez wszystkie kolejne dni. Raz po raz przypominał sobie, że Sara nie obiecała przyjść na spotkanie. Niczego mu nie przyrzekła. Zastanawiał się, w jaki sposób ją powita, kiedy znowu się zobaczą. Musiał starannie dobrać słowa, żeby nie ujawnić przed obcymi rozczarowania i goryczy. Zastanawiał się również, czy nie wyjechać choćby dziś pod pretekstem niecierpiącej zwłoki sprawy rodzinnej, aby definitywnie zapomnieć o doznanym zawodzie. Może tak zrobi? Lepiej nie myśleć o drwinach, których z pewnością nie poskapi mu Brant, starszy brat. Będzie szydził bez litości i nazwie go piramidalnym głupcem oraz najbardziej sentymentalnym kretyńcem na całym świecie. Tym razem miałby rację.

– Istny słowik! Co za słodycz w głosie! – zachwycił się sąsiadujący z Revellem mężczyzna. – Ach, panno Talbot, pani wczorajszy występ był prawdziwą uczcą dla ducha. Te cudowne trele. Poezja dźwięku.

Panna Talbot, pulchna blondynka i zawołana kokietka daremnie próbująca zwrócić na siebie uwagę Revella, chichotała, wytwornie trzymając łyżeczkę czubkami palców.

– Jest pan dla mnie nazbyt uprzejmy, panie Andrews –szczebiotała. – Staram się, jak mogę, a panowie byli nienasyceci i ciągle wołali o bis..

– Bis! Bis! Z ust mi to pani wyjęła – odparł pan Andrews i wybuchnął śmiechem, jakby powiedział świetny dowcip. –Przez całą noc mógłbym słuchać pani słodkiego głosu. – Pochylił się ku Revellowi i szepnął konfidencyjnie: – Stracił pan wczoraj cudowny recital, milordzie. Naprawdę jest czego żałować.

– Czyżby? – mruknął Revell oschle, ale rozmówca nie zwrócił uwagi na nieprzyjazny ton i perorował dalej.

– Naturalnie, milordzie – zapewnił, kątem oka zerkając na pannę Talbot oraz jej imponujący dekolt. – Zimno mi się robi na samą myśl, że zostalibyśmy pozbawieni tej przyjemności, gdyby lady Fordyce nie nakłoniła guwernantki swej córeczki do akompaniowania na fortepianie, żeby panna Talbot mogła zaśpiewać i...

– Guwernantka musiała akompaniować pannie Talbot? –spytał z niedowierzaniem Revell.

– Właśnie, milordzie – wtrąciła miejscowa piękność, uradowana, że lord Revell nareszcie się nią zainteresował. – Śpiewałam godzinami. Nasi panowie nie dali mi chwili oddechu, milordzie.

– A panna Blake... ta guwernantka. Przez cały czas grała?

– Owszem, milordzie. – Panna Talbot uśmiechnęła się tryumfalnie. – Było życzeniem lady Fordyce, żeby ta osoba mi akompaniowała. Rzecz jasna, przywykłam muzykować w towarzystwie prawdziwych dam, ale wczoraj trzeba się było zadowolić grą tej chudej, skwaszonej brzyduli...

– Proszę mi wybaczyć, panno Talbot, ale muszę natychmiast panią opuścić. – Revell zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła. Wybiegł z pokoju wśród pomruków i szeptów

osłupiałych współbiesiadników. Nie obejrzał się, zostawiając panu Andrewsowi obowiązek pocieszenia ślicznotki pozostawionej nagle i bezceremonialnie.

O tej porze Sara zapewne wyszła już ze swoją podopieczną na poranną przechadzkę, uznał Revell. Służąca wspomniała, że spacerują regularnie jak w zegarku. Jeśli się pospieszy, spotka je, nim wrócą do domu. W obecności Clarissy nie będzie mógł powiedzieć wszystkiego, co mu leży na sercu, ale i tak łatwiej rozmawiać na dworze niż w zatłoczonym wnętrzu. Popędził do swego pokoju po rękawiczki i płaszcz, a potem z rozwianymi połami mknął do wyjścia, mijając zdumioną służbę i gości państwa Fordyce. Dopadł drzwi i sam je otworzył, nie czekając na lokaja, który zbyt późno rzucił się na pomoc.

Cienka warstwa świeżego śniegu, który spadł ostatniej nocy, złagodziła kontury i miękką pierzynką okryła całą okolicę. Ślady stóp były na nim doskonale widoczne. Revell przeciął dziedziniec w pobliżu stajni, zmierzając w to samo miejsce, gdzie poprzedniego dnia widział z okna Sarę i Clarisę. Udeptany śnieg pomieszany z ziemią wskazywał, którądy Albert pojechał wcześniej z przyjaciółmi na konną wyprawę, ale tuż obok Revell znalazł to, czego szukał: równoległe ślady pozostawione przez małe oraz jeszcze mniejsze stopy, nieco zatarte z powodu zagarniających śnieg długich halek i spódnic.

Znalazł Sarę i Clarisę w małym zagajniku, gdzie rosły wiekowe ostrokrzewy o ciemnozielonych liściach i czerwonych jagodach, pięknie kontrastujące z bielą śniegu, na którym stał koszyk z wierzbowych witek. Leżały w nim gałązki ścinane przez Sarę do dekoracji sali balowej. Clarissa śmiała się, klaszcząc rękoma ukrytymi w czerwonych mitenkach i pływając na śniegu w szalonym tańcu.

Scena była niezwykle urokliwa; Revell wahał się przez moment, czy podejść. Obowiązki Sary jako przygodnej akompaniarki tłumaczyły jej wczorajszą nieobecność, ale nie wyjaśniały wszystkiego. Może wolą grać, niż spotkać się z nim na tarasie. W tej sprawie brakowało mu pewności, ale teraz wszystkie kwestie dotyczące jego ukochanej otaczała aura tajemniczości.

Sara odwróciła się, żeby włożyć do koszyka parę gałązek, i wtedy usłyszał piosenkę, którą nuciła. Bez namysłu zaczął jej wtórować, przypominając sobie słowa. Miał wrażenie, że nauczył się ich w innym życiu.

Ostrokrzew się zieleni. Bluszcz także jest zielony, I zimy go nie zmieni
Tchnienie ni mróz szalony. Ostrokrzew się zieleni.

Sara ujrzała Revella na obrzeżach zagajnika i wtedy jej twarz rozjaśnił najcudowniejszy z uśmiechów, jakie można sobie wyobrazić. Ani śladu wahania czy wątpliwości.

– Lord Revell! – krzyknęła uradowana Clarissa, biegnąc do niego po śniegu. – Przyszedł pan. A panna Blake mówiła, że nie będzie się panu chciało szukać naszego towarzystwa. I proszę, już pan jest.

– Panna Blake jest wyjątkowo mądrą kobietą – zaczął z udawaną surowością Revell, wpatrzony w twarz Sary. To dziwne, że stale zwracał się do dziewczynki, a z ukochaną musiał porozumiewać się bez słów. – Jednak nawet ona nie wie wszystkiego, zwłaszcza jeśli chodzi o mnie.

Gdyby zechciała poświęcić mi minutę, wyznałbym jej wszystko, czego warto się o mnie dowiedzieć, a na dodatek oddałbym serce i duszę, pomyślał.

– Proszę zaśpiewać raz jeszcze swoją piosenkę, milordzie – błagała Clarissa, podskakując z radości. – Najmiej ścina się przy niej gałązki ostrokrzewu.

– To nie jest piosenka jego lordowskiej mości – tłumaczyła Sara, zacierając dłonie, żeby je trochę rozgrzać. Policzki miała zaróżowione, oczy jej błyszczały. Kaptur powoli zsuwał się z głowy, a w czasie poszukiwania dorodnych pędów ostrokrzewu niesforne kosmyki wymknęły się z ciasnego koka i skręcone w pierścionki jak aureola otoczyły śliczną twarz. Sara nie wyglądała teraz na surową guwernantkę. Revell był zauroczony. – To słynna pieśń napisana przez króla Henryka VIII.

– On był na pewno pańskim kuzynem, milordzie – uznała roztropnie Clarissa. – Wiem od panny Blake, że księżęta są bardzo blisko z królewiczami i królami, sadzę więc, że pan należy do rodziny króla Henryka VIII.

Revell wybuchnął śmiechem, ponieważ ubawiły go wywody dziewczynki, a poza tym było mu wesoło i nie potrafił ukryć radości.

– Z pewnością nie jesteśmy kuzynami w prostej linii. W mojej rodzinie nie brak szubrawców, wcale nie musimy przyznawać się do tego łotra, żeby jeszcze bardziej zabagnić swoje dzieje. I tak mamy wiele na sumieniu. Zostało tylko trzech Claremontów, ja oraz moi dwaj bracia, i zapewniam cię, że to wystarczy.

– Pan jest sierotą jak panna Blake – podsumowała Clarissa z należytą powagą. – My jesteśmy dla niej jedyną rodziną, zwłaszcza teraz, na Boże Narodzenie. Mama powiedziała, że panna Blake nie ma dokąd pójść.

– Och, moja droga Clarisso, nie mów tak, bo czuję się jak pies, którego nikt nie chce przygarnąć! – powiedziała Sara dość cierpko. Uśmiechała się nadal, ale spontaniczna radość nagle się ulotniła.

– Wcale nie twierdzę, że jest pani bezpańskim psem – zaprotestowała urażona dziewczynka. – Mówię tylko, że poza naszym domem nie ma pani innego schronienia. Tak samo jest z lordem Revellem. Musimy się nim zaopiekować tak jak panią, co? Mama powiada, że prawdziwa uprzejmość zaczyna się w domu. Milordzie, proszę się pochylić.

Zaskoczony, ale posłuszny Revell zgiął się wpół, aż jego barki znalazły się na wysokości ramion Clarissy. Nie czuł się sierotą. Dojrzały wiek i nie najlepsze wspomnienia o zmarłych dawno rodzicach sprawiły, że nie łaknął przyjaźni i współczucia jedynie dlatego, że wcześniej zabrakło mu ojca i matki. Jednak zaproszenie Alberta przyjął właśnie z tęsknoty za domową atmosferą. Chciał doświadczyć tradycyjnych, radosnych, hałaśliwych i rodzinnych świąt, których w dzieciństwie nie dane było przeżyć ani jemu, ani braciom. Rzeczywiście czuł się niekiedy jak bezpański pies wspomniany przez Sarę: zawsze w drodze, bez prawdziwego domu.

– O tak, milordzie – wymamrotała Clarissa, w skupieniu marszcząc czoło, gdy wsuwała gałązkę ostrokrzewu w górną dziurkę płaszcza zapinanego na guziki. – Teraz jest pan prawdziwym mieszkańcem Ladysmith, przynajmniej do Trzech Króli.

Wyprostował się powoli i pogłaskał zieloną gałązkę. Ciekawe, gdzie się podział jego radosny śmiech i beztroski nastrój Sary, która nagle pobladła. Czy kiedyś zdecyduje się na zwierzenia?

Jakie to dziwne, że starania małej dziewczynki naśladowującej wielkoduszną matkę tak bardzo poruszyły i jego, i Sarę. Chyba rzeczywiście byli oboje niczym bezpańskie psy, którym nie udało się znaleźć ciepłego przytuliska. Revell nie potrafiłby teraz kpić z tego porównania, choć miał na to wielką ochotę.

– Mama twierdzi, milordzie – ciągnęła Clarissa – że człowiek jest szczęśliwy, gdy ma się o kogo troszczyć, a ten ktoś też nim się opiekuje. Czy tak, panno Blake?

Tym razem Sara nie odpowiedziała na pytanie uczennicy.

– Clarisso, wydaje mi się, że zostawiłam szal przy włoskim orzechu. Zechcesz mi go przynieść?

– Oczywiście, panno Blake – odparła dziewczynka, radośnie kiwając głową. Tak rzadko pozwalano jej biegać swobodnie, że nawet dwadzieścia kroków – a tyle dzieliło ją od włoskiego orzecha – bez asysty dorosłych uważała za ekscytującą wyprawę. Pobiegła natychmiast z obawy, że guwernantka zmieni zdanie. Uradowana deptała śnieg i gałęzie.

Sara także spieszyła się, chcąc wyrzucić z siebie potok słów.

– Revell, wczoraj wieczorem...

– Nieważne – przerwał jej i zsunął z głowy kaptur. Drżała, przeczuwając, na co się zanoszą.

– Chcę tylko, byś wiedział, że...

– Dość – powiedział cicho i pocałował ją w usta. Chłodne powietrze, jego gorące wargi i palce wsunięte w jej włosy... Powinna się odsunąć lub zaprotestować, ale przymknęła oczy i poddała się z westchnieniem, które szybko zostało stłumione.

Rozchyliła wargi, spragniona śmielszych pocałunków, aż poczuła dobrze znany dreszcz rozkoszy. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że trzeba zapomnieć o Revellu, lecz zmysły z uporem i płomiennym oddaniem zachowały wspomnienie o nim, a teraz wieloletnia rozłąka w jednej chwili przestała mieć znaczenie. Wystarczył jeden całus, aby Sara zdała sobie sprawę, że Revell był, jest i będzie jej przeznaczeniem.

– Och, Saro. – Przerwał pocałunek, lecz nadal obejmował dłońmi jej twarz. – Nie masz pojęcia, jak mi ciebie brakowało.

Uśmiechnęła się przez łzy, niezdolna wyrazić słowami, co czuje. Drżąca i niepewna nie miała pojęcia, co będzie dalej. Mimo ogromnego poruszenia usłyszała kroki wracającej dziewczynki, cofnęła się przezornie i zwróciła ku niej.

Clarissa nadbiegła w rozwianej pelerynie i rzuciła guwernantce oskarżycielskie spojrzenie.

– Przy orzechu nie ma szala, panno Blake.

– Naprawdę? – odparła Sara. Dręczona wyrzutami sumienia usiłowała przygłodzić włosy. Nie widziała teraz Revella, ale czuła za plecami jego obecność. Z trudem zwalczyła przemożną pokusę, żeby ująć jego dłoń.

Czy to możliwe, by jeden pocałunek miał tak poważne skutki? Przez tyle lat świetnie radziła sobie bez Revella. Co on w sobie miał, że stawała się przy nim bezwolna i słaba, choć zarazem była świadoma, że po wieczorze Trzech Króli znowu może zniknąć z jej życia? Czy zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczny jest dla niej ten flirt? A jeśli w ogóle go to nie obchodzi? Powinni odbyć poważną rozmowę, i to jak najszybciej, zanim ponownie zechce ją pocałować.

Żeby tylko na nowo się w nim nie zakochała!

– Nie ma go przy orzechu. – Clarissa westchnęła i teatralnym gestem wskazała koszyk z gałązkami ostrokrzewu i szalem przewieszonym przez rączkę. – Przez cały czas leżał tu, gdzie go pani zostawiła. Gdyby... Panno Blake, czy pani jest chora?

– Ależ skąd. Uchodzę za okaz zdrowia. Odkąd się znamy, ani razu nie chorowałam, prawda? – odparła pospiesznie Sara, ale jej zapewnienie wypadło dość blado. Nie przekonała ani siebie, ani swej podopiecznej.

– Marnie pani wygląda – oznajmiła dziewczynka. – Moim zdaniem powinniśmy natychmiast wrócić do domu.

– Racja – wtrącił Revell. Głos Sary drżał, ale jego też brzmiał niepewnie. – Jak wspomniałem, panna Blake jest wyjątkowo mądra niemal we wszystkich dziedzinach, ale bywa niekiedy równie bezradna, jak my, zwykli śmiertelnicy, i dlatego teraz musimy się nią zaopiekować, podobnie jak na co dzień ona troszczy się o ciebie.

– Mama też tak mówi. – Dziewczynka skinęła głową, zdecydowana na pewien czas przyjąć rolę czulej opiekunki. Troskliwie ujęła dłoń Sary. – Idziemy, panno Blake. Koniec spaceru.

– To miłe, że tak się o mnie troszczysz, ale czuję się doskonale i nic mi nie jest – protestowała Sara. – Rev... Milordzie, niech ją pan przekona.

– Odmawiam, bo panienka Clarissa ma rację – odparł Revell. Podniósł koszyk i przewiesił go sobie przez ramię, a drugie podał Sarze. Jego uśmiech był serdeczny, łobuzerski, a zarazem uwodzicielski. Wmawiała sobie, że nie ma prawa do takiej poufałości z jego strony. – Wygląda pani na znużoną, więc mam obowiązek zaopiekować się panią najlepiej, jak potrafię.

Sara udawała z uporem, że nie widzi opiekuńczego ramienia.

– Nie jestem znużona.

– Ależ tak! – wtrąciła Clarissa, a potem dodała teatralnym szeptem, zwracając się do Revella: – Ma pan całkowitą rację, milordzie. Musimy troszczyć się o nią ze wszystkich sił. Mama twierdzi, że nigdy za wiele starania o bliźnich. A poza tym nie dbam o to, co o panu mówią inni. Wcale nie jest pan największym łotrem i obwiesiem w całych Indiach, skoro tak serdecznie zajął się pan naszą panną Blake.

Revell chwycił dłoń swojej najdroższej, umieścił w zgięciu ramienia i delikatnie poklepał. Sara z ponurą miną uznała, że nawet jeśli on nie jest

najgorszym obwiesiem w całych Indiach, ona sama z pewnością wiedzie prym w hrabstwie Sussex, jeśli chodzi o kobiecą przewrotność.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Nareszcie, panno Blake! – zawołała kucharka, pani Green, spoglądając ponad głowami dwu podkuchennych, które rękami białymi od mąki zagniatały ciasto. – Lady Fordyce szuka pani po całym domu. Och, lordzie Revell, proszę mi wybaczyć. Nie widziałam, że i pan tu jest!

– Trudno go nie zauważyć – wtrąciła Clarissa, sięgając po kawałek pokrojonego na kwadraty placka ze śliwkami, upieczonego dla gości na podwieczorek. – Sama widzisz, kucharcu, że jest wyższy i szerszy w ramionach od naszego Alberta.

– Pochlebiasz mi, Clarisso – odparł pogodnie Revell, stawiając na stole koszyk z gałązkami ostrokrzewu. Niósł go za Sarą jak usłużny lokaj, a nie wielki pan. Zdumione i zachwycone podkuchenne wpatrywały się w niego oczyma wielkimi jak spodki. – Chyba rzeczywiście tak jest, prawda, panno Blake?

Sara nie odpowiedziała, tylko pospiesznie zrzuciła pelerynę, przygładziła włosy i obciągnęła suknię, żeby godnie się prezentować, gdy stanie znów przed lady Fordyce, która zapewne doszła do wniosku, że tygrysy i słonie to nie jest właściwa dekoracja sali balowej. Sara przeczuwała, że zostanie wkrótce skarcona za ten niefortunny pomysł.

– Pani Green – zagadnęła kucharkę i pospiesznie zdjęła mitenki. – Niech służąca zaprowadzi Clarissę do dziecięcego pokoju. Trzeba ją przebrać w suche rzeczy.

– Lord Revell może mnie odprowadzić na górę – wtrąciła natychmiast dziewczynka.

– Nie nadużywajmy jego uprzejmości, moja droga – pouczyła ją Sara, starając się nie zwracać uwagi na szepty oraz ukradkowe spojrzenia

kucharki i podkuchennych. Nic dziwnego, że zdumiały się, widząc, jak Clarissa traktuje Revella niczym ulubionego wujaszka. – Pójdiesz do siebie z Bess.

– Czy i dla mnie ma pani jakieś rozkazy? – wtrącił przyjaźnie Revell, zadowolony, że Sara znowu ślicznie się zarumieniła. Jego uśmiech był serdeczny i ujmujący, niebieskie oczy patrzyły z wyraźną czułością, a każde spojrzenie było pieszczotą równie miłą, jak pocałunek. Gdy ostrożnie pogłaskał gałązkę ostrokrzewu przypiętą do surduta, tym jednym gestem przypomniał jej o wielu niewypowiedzianych sekretach. – Dokąd mnie pani wyśle?

Sara wolała nie wiedzieć, co ciekawskie służące myślą o ich osobliwej zażyłości. Kto da wiarę, że przypadkiem spotkali się dzisiaj w ogrodzie? Nikt, ale to nikt nie uwierzy, że wysoko urodzony gość państwa jedynie z wrodzonej uprzejmości odnosi się przyjaźnie do guwernantki.

– Proszę robić, co się panu podoba. To pańskie prawo

I obyczaj, czyż nie? – Na szczęście pamiętała, żeby dygnąć, nim wyszła z kuchni.

Ostatnia uwaga zabrzmiała fatalnie, wręcz opryskliwie. Gdyby mieli dla siebie choć dziesięć minut, gdyby zamiast się całować, porozmawiali, nieporozumienia od razu by się wyjaśniły. Zła na siebie i na Revella energicznie otrzepała spódnicę i pobiegła na górę do buduaru lady Fordyce.

– Nareszcie pani wróciła – powitała ją chlebodawczyni. Skinęła na pokojówkę trzymającą w rękach dwie pary pantofelków. – Czerwone, Hanno. Sprawdź, czy szwy są dostatecznie mocne. Nie chcę, żeby w tańcu buty spadły mi z nóg. A teraz do rzeczy, panno Blake.

– Domyślam się, że chodzi o słonie i tygrysy do ozdoby sali balowej. Są niestosowne...

– Ależ skąd! – Lady Fordyce uśmiechnęła się promiennie. – Motywy orientalne to ostatni krzyk mody. Tak mówią wszystkie znajome, z którymi rozmawiałam. Potwierdziły opinię lorda Revella. Zasługuje pani na pochwałę. Cóż za uroczy i oryginalny pomysł.

– Dziękuję, milady – odparła bez przekonania Sara, jakby komplementy wcale nie podniosły jej na duchu.

– Nadzwyczaj oryginalny – ciągnęła jej lordowska mość, wyraźnie zadowolona z siebie i z guwernantki. – Dlatego postanowiłam, że wraz z Clarissa weźmie pani udział w naszej maskaradzie. Proszę się postarać o ładny kostium.

– Ależ milady! – zawołała Sara, bardziej wystraszona niż uradowana. Dawno minął dla niej czas płochych rozrywek, a z tańcem i balami pożegnała się jeszcze w Kalkucie, gdzie zostały jej strojne kreacje, biżuteria oraz barwne pióra do ozdabiania fryzur. – To bardzo miło z pani strony, ale nie mam odpowiedniego przebrania, a do balu zostały tylko dwa dni, więc...

– I o tym pomyślałam. – Lady Fordyce klasnęła z miną tryumfatorki. – Na strychu jest mnóstwo skrzyń i kufrów ze starymi ubraniami. Znajdzie tam pani suknie, halki, stroiki na głowę i Bóg wie co jeszcze. Proszę wziąć ze sobą Clarissę i buszować do woli pośród tych staroci. Jestem pewna, że skompletujecie odpowiedni strój.

– Dziękuję, milady – powtórzyła Sara słabym głosem, biorąc od niej czarną maseczkę. – Jest pani dla mnie nazbyt łaskawa.

– Skądże znowu, moja droga – odparła lady Fordyce i nagle spoważniała, niespokojnie bębniąc palcami po blacie stolika. – Skoro omówiliśmy już miłe nowiny, czas przejść do... przykrych spraw.

Zacisnęła wargi, szukając odpowiednich słów. Sara była coraz bardziej zaniepokojona.

– Jak pani wiadomo, staram się prowadzić dom wedle jasnych i ściśle określonych zasad, co czynię dla dobra wszystkich mieszkających pod moim dachem – zaczęła w końcu lady Fordyce. – Zawsze powtarzam, że hultaj jest hultajem, niezależnie od urodzenia i stanu posiadania. O ile jednak wolno mi z miejsca odprawić lokaja, który bałamuci służącą, nie mogę sobie na to pozwolić, gdy sprawa dotyczy dżentelmena, arystokraty, gościa bawiącego z wizytą w Ladysmith.

Gdy Sara pojęła, o co chodzi, zarumieniła się, a dłonie jej zwilgotniały.

– Milady, proszę zrozumieć...

– Bez obaw, moja droga. To nie pani, lecz ja muszę uporać się z tą sprawą – oznajmiła stanowczo lady Fordyce. – Nie ma mowy, żeby musiała pani sama bronić się przed niechcianymi awansami lorda Revella. Proszę nie zaprzeczać. Wiem, że się pani narzucał. Cały dom o tym plotkuje.

Przerażona Sara wstrzymała oddech. Jak mogła się łudzić, że serdeczna zażyłość pozostanie ich słodką tajemnicą, że nikt w Ladysmith nie zorientuje się, co ich łączy? Dlaczego jej życie znowu stało się tematem plotek i pomówień? Ile czasu potrzeba, żeby odkryto prawdziwe nazwisko i haniebne okoliczności zgonu ojca? Co na to powie Revell?

– Mam nadzieję, że... nie zamierza pani rozmawiać o mnie z lordem Revellem – odparta błagalnie.

– W żadnym wypadku, panno Blake. To człowiek z towarzystwa. Nie mam prawa go karcić. Obiecuję znaleźć inne wyjście z trudnej sytuacji. Nie będę się teraz nad tym rozwodzić, ale przyrzekam, że lord Revell przestanie się pani naprzykrzać.

Sara wiedziała, że to nie będzie takie proste. Wcale nie pragnęła, żeby zaczął jej unikać. Przez te dwa dni jego awanse były nieco kłopotliwe, ale zarazem upragnione.

Zasmucona utkwiała wzrok w podłodze, modląc się w duchu, żeby lady Fordyce niczego nie wyczytała z jej twarzy. Powtarzała sobie, że jakoś przetrwa dwa tygodnie pozostałe do Trzech Króli. Czas spędzony blisko Revella był dla niej bezcenny. Tylko ona знаła tę prawdę. Chciała go widywać, marzyła o ukradkowych sam na sam, chociaż wiedziała, że bliskość będzie chwilowa.

To więcej niż pewne, że czeka ich kolejne rozstanie. Hołubiła w sercu nadzieję, lecz zachowała też zdrowy rozsądek, który podpowiadał, że gdy Revell dowie się, dlaczego musiała opuścić Kalkutę, odwróci się od niej. Nie oczekiwała, że tym razem wesprze ją, postępując honorowo i lojalnie. Miło jest rozmawiać o cudach, ale nie można Uczyć, że dzięki nim życie zmieni się na lepsze.

Jak dawniej czuła się mocno związana z Revellem. Można by pomyśleć, że znów są młodzi i szaleńczo zakochani, jakby nic na świecie nie było ważniejsze od wiecznie żywej magii, która ich oboje urzekła. Sara chciała czuć się jak przed laty, choćby tylko przez kilka dni. Marzyła, by dzielić te przeżycia z Revellem. Machinalnie dotknęła palcami ust, wspominając jego pocałunek. Obiecał przyjść do sali balowej, żeby pomóc jej i Clarissie w rozwieszaniu girland z ostrokrzewu i ustawianiu papierowych słoń. Pewnie już czeka na nie... na nią.

– Gdy Clarissa włoży suche ubranie, proszę ją sprowadzić na dół. Tam się spotkamy – ciągnęła lady Fordyce. – Kazałam zaprzęgać. Pojedziemy saniami do Peterborough Hall.

Sara natychmiast podniosła głowę, wracając do rzeczywistości.

– Do Peterborough Hall? – powtórzyła zdziwiona. – Clarissa i ja miałyśmy dekorować salę balową.

– Jutro będzie na to dość czasu. – Lady Fordyce uśmiechnęła się, szczerze zadowolona, że uporała się z kolejnym domowym problemem. – Czekaając na urzeczywistnienie drugiej części mego planu, zamierzam trzymać panią jak najdalej od wszelkich pokus związanych z osobą lorda Revella, nawet jeśli to oznacza podwieczorek w towarzystwie tej odrażającej Lucy Peterborough. Jej córka jest znośna, więc Clarissa się z nią pobawi.

– Ależ milady! – zawołała Sara, rozczarowana i zbита z tropu. – Co z gośćmi? Tyle obowiązków! Naprawdę nie musi pani...

– Muszę. – Lady Fordyce ujęła jej dłoń i poklepała delikatnie. – Zawsze była pani uosobieniem wszelkich cnót, więc nie życzę sobie, żeby coś się w tej kwestii zmieniło.

Sara wiedziała, że zmiana już nastąpiła.

– Proszę spojrzeć, panno Blake – powiedziała Clarissa. Cofnęła się o parę kroków, ujęła się pod boki i podziwiała wspólne dzieło. – Moim zdaniem jest ślicznie.

– Masz rację – przyznała Sara, rozglądając się po sali balowej. – Nie mogę się doczekać, kiedy twoja mama to zobaczy.

Przez cały ranek dekorowały ogromne pomieszczenie, komenderując trzema lokajami, którzy wieszali girlandy z ostrokrzewu nad zwieńczeniami podłużnych luster. Gałęzie umieszczono również na kredensach oraz nad czterema symetrycznymi kominkami. Tu i ówdzie zatknięto pędy bukszpanu o lśniących, zielonych listkach. Czerwone i białe wstążki z kokardami stanowiły dekorację wyczyszczonych do blasku spiżowych kandelabrow wiszących pod sufitem. Wstęgami opleciono również balustradę niewielkiej galeryjki dla orkiestry.

Papierowy łańcuch zrobiony przez Revella zdobił front fortepianu. Służba przeniosła instrument z salonu do sali balowej na wypadek, gdyby

damy zapragnęły grać, zastępując na chwilę zawodowych muzyków. Wśród zieleni rozmieszczone były zwierzęta wykonane z papieru – istna arka Noego w angielskim lesie. Nie ulegało wątpliwości, że po zapaleniu woskowych świec efekt będzie cudowny, wprost magiczny. Sara i Clarissa miały powód do dumy, podobnie jak lady Fordyce. Należało uznać za pewnik, że zarówno goście zaproszeni na bal, jak i wszyscy sąsiedzi będą o tym wydarzeniu rozmawiać przez całą zimę.

Sara od rana zerkąła na drzwi, ale Revell nie przyszedł. Nic dziwnego. Z podsłuchanej rozmowy służących wynikało, że wszyscy dżentelmeni pojechali o świcie na polowanie.

Westchnęła i pokiwała głową, szydząc ze swej naiwności i złudnych nadziei. Tęskniła za nim. O to chodziło, prawda? Ostatnia doba dłużyła jej się bardziej niż sześć lat rozłąki. Z powodu wczorajszych odwiedzin w Peterborough Hall po wspólnym ścinaniu ostrokrzewu nie widziała się z Revellem ani przez moment. Tego właśnie życzyła sobie jej lordowska mość. Sara dostatecznie długo przebywała w Ladysmith, aby wiedzieć, że gdy pani domu coś sobie wbije do głowy, nikt nie zdoła jej powstrzymać. Teraz uznała, że musi chronić Sarę przed umizgami lorda Revella, i by postawić na swoim, gotowa była zapewne osiodłać mu konia i osobiście dopilnować, żeby pojechał na polowanie.

– Możemy poszukać kostiumu dla pani? – zapytała Clarissa, podskakując z radości. Dzień przed Bożym Narodzeniem była już w świątecznym nastroju. – Pani codzienne sukienki nie nadają się na maskaradę. Żadna nie jest odpowiednia. Dziś trzeba wyglądać inaczej. Będzie pani śliczna jak dobra wróżka albo królewna z bajki, albo... sama nie wiem, ale kostium musi być przepiękny.

Sara przejrzała się w podłużnym lustrze, groźnie zmarszczyła brwi i skrzywiła się wymownie.

– Suknia sprzed wieku to za mało, żeby mnie zmienić w księżniczkę.

– Podczas balu maskowego wszystko jest możliwe –upierała się Clarissa. Chwyła dłoń Sary i pociągnęła ją ku drzwiom. – Chodźmy, panno Blake. Strych to najcudowniejsze miejsce w całym domu... Albert, nie!

Młody Fordyce stał w drzwiach sali balowej, a grupka panów tłoczyła się za nim, zerkając ciekawie do środka. Wszyscy mieli na sobie stroje do konnej jazdy: krótkie surdury, jasne bryczesy i wysokie buty mokre od topniejącego śniegu. Ich twarze były zaczerwienione od mrozu.

– Nie, nie, nie! – krzyczała rozpaczliwie Clarissa, wymachując bratu rękami przed nosem. – Proszę nie wchodzić. Jeszcze nie teraz! To ma być niespodzianka! Wielki sekret, rozumiesz?

– Tylko zerkniemy, dobrze? – przymilał się Albert, odsuwając drobne ramionka. Inni śmiało zaglądali do środka. – Opowiadałem wszystkim, że sala balowa będzie wyglądać niesamowicie podczas dzisiejszej maskarady, są więc ogromnie zaciekawieni.

– Zepsułeś niespodziankę – poskarżyła się Clarissa. Głos jej drżał, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. – Wszystko na nic.

Sara podbiegła i przytuliła dziewczynkę.

– Nic się nie stało – zapewniła, mimo że najchętniej udusiłaby Alberta za ten wybryk. – Przecież nic nie widzieli. Dopiero wieczorem przy zapalonych świecach zobaczą nasze dzieło i będą zdumieni.

Młoda blondynka w różowej sukni z muślinu przepchnęła się przez tłum, wybiegła na środek sali i okręciła się kokieteryjnie. Sara rozpoznała

domoroślą śpiewaczkę o marnym głosiku, której niedawno musiała akompaniować podczas wokalnych popisów.

– Och, drogi panie Fordyce – szczebiotała, niby przypadkiem ukazując pulchne kostki. – Jakie to wszystko dziecinne i zabawne. Prawda, milordzie? – zagadnęła Revella.

– Z pewnością nie – odparł, wychodząc z grupy ciekawskich. Do surduta miał przypiętą gałązkę ostrokrzewu. – Prawdziwe słonie i tygrysy nie mają nic wspólnego z dziecięcymi maskotkami Zgadza się, panno Clarisso?

– Tak jest, milordzie. – Pomszczona dziewczynka otarta łzy i zmrużonymi oczyma spojrzała na pannę Talbot. – Zwłaszcza gdy pożerają człowieka żywcem.

Panna Talbot przestała się uśmiechać, zrobiła kwaśną minę i ponad rozłożonym wachlarzem spojrzała na Alberta Fordyce’a.

– Dobry Boże! Pańska siostra objawia mordercze skłonności. Jest również impertynencka. Na miejscu jej matki zastanowiłabym się, czy edukacja, którą odbiera, jest właściwa dla panienki z dobrego domu.

– Nie ulega wątpliwości, że tak – wtrącił Revell. – Należałoby podziękować pannie Blake, że uczy Clarissę według najlepszych metod. Jest również wzorem piękna i mądrości.

– No, jasne – przytaknęła lojalnie Clarissa, choć w jej główce zrodziło się podejrzenie, że dorośli rozmawiają, jakby chodziło im o coś innego.

Miała rację. Revell skłonił się przed Sarą, kładąc dłoń na sercu. Zebrani widzieli ciemny rumieniec na twarzy Sary słuchającej jego komplementów. Doskonale pamiętała ostrzeżenie lady Forydce. Niestety, plotkarze mieli teraz potwierdzenie swych domysłów. Wśród zebranych zapanowało poruszenie i spore napięcie, jakby lord Revell tym razem zdecy-

dowanie przesadził, w sposób nazbyt oczywisty manifestując swoje zainteresowanie.

Zakłopotany Albert odchrząknął.

– Licz się ze słowami, Claremont. Słucha tego moja siostrzyczka.

Revell nadal był uśmiechnięty, ale w jego głosie pojawił się zaczepny ton.

– O co ci chodzi, Fordyce? Powiedziałem coś, czego nie powinna usłyszeć? Nie zaprzeczysz chyba, że panna Blake jest mądra i piękna. A może nie zgadzasz się ze mną?

– Skądże, Claremont – wymamrotał zakłopotany Albert, ocierając twarz chustką. – Proszę tylko, żebyś nie był taki... taki... no...

– Może coś zagram, panie Fordyce? – przerwała Sara i podbiegła do stojącego w rogu instrumentu. Czują się fatalnie jako obiekt zainteresowania, ale nie mogła pozwolić, żeby Revell uniósł się honorem i postanowił nagle bronić jej dobrego imienia; to jedynie pogorszyłoby sytuację. – Skoro zebraliśmy się w sali, gdzie ma rozbrzmiewać muzyka, trzeba wykorzystać sposobność i potańczyć w wigilijne przedpołudnie. Wszystkim należy się miła rozrywka.

– Doskonały pomysł, panno Blake! – zawołał Albert z desperackim zapałem. Chwycił rączkę Clarissy i porwał ją w tany, ciągnąc na środek sali.

– Naprawdę zechce pani nam zagrać? Prosimy o skoczną melodię pasującą do świątecznego nastroju.

– Jak pan sobie życzy – odparła Sara i podniosła wieko instrumentu, starając się upodobnić do pokornej guwernantki, za jaką dotąd uchodziła. Oby jak najszybciej zapomniano, że ma dość odwagi, by śmiało wkroczyć między skłóconych mężczyzn. – Z przyjemnością zagram dla państwa,

– Proszę się posunąć, *memsahib* – usłyszała głos Revella, który niespodziewanie usiadł z nią do instrumentu. Był tak blisko, że czuła jego nogę przy swoim udzie. – Zostawiła mi pani za mało miejsca. Jak słusznie zauważyła Clarissa, jestem człowiekiem zacnej postury, trudno mnie nie zauważyć.

Odskoczyła jak oparzona, chcąc nie tyle spełnić jego prośbę, ile uniknąć nadmiernej bliskości.

– Revell, co ty robisz? – skarciła go po cichu. – Nie możesz tu siedzieć! Jak śmiesz nazywać mnie *memsahib*! Powinieneś tańczyć z innymi gośćmi!

– Uważam, że dobrze wybrałem. To najlepsze miejsce. – Gdy skwapliwie przysunął się do niej, poczuła ostrą, przyjemną woń zimowego powietrza. Przypomniła sobie poranne spotkanie przy zaroślach ostrokrzewu. Gałązka wiecznie zielonej rośliny tak wiele symbolizowała. – Widzę tutaj swój niezdarnie sklejony łańcuch. To pewnie wskazówka, że miejsce jest przeznaczone dla mnie?

– Revell, zabraniam ci. Tak nie można. Naraziłeś się lady Fordyce i wszystkim innym...

– Tobie również? – spytał ponuro. – Dla mnie liczy się tylko twoje zdanie.

Znów poczuła, że się rumieni.

– Nie w ten sposób – odparła wykrętnie. – Inaczej niż ty nie lubię zwracać na siebie uwagi, a twoje zachowanie jest... niewłaściwe, zwłaszcza teraz, przed Bożym Narodzeniem.

– Wolno zapytać, co z gwiazdkowymi cudami? – Gdy musnęła klawisze, promienie słońca przejrzały się w szafirowym oczku jego pierścienia. – Pamiętasz skoczną melodię, którą graliśmy na cztery ręce?

Wyuczyłem się jej od ciebie niczym tresowane psisko. Nie wiem, czy się nie pomylę, bo dawno nie grałem, ale chętnie spróbuję, jeśli nie odstrasza cię ryzyko totalnej klapy.

Jego łobuzerski uśmiech wydawał się trochę niepewny. Sara natychmiast pojęła, że prośba nie dotyczy jedynie wspólnego muzykowania.

– Revell... – szepnęła, świadoma wszystkich ciemnych sekretów, które wciąż pozostawały między nimi nieujawnione. – Skoro ty nie zapomniałeś – dodała, z równą starannością dobierając słowa – ja również pamiętam. Gotowa jestem także podjąć ryzyko całkowitej kompromitacji.

Uśmiechnął się, a Sara zaczęła grać. Mamrotał z irytacją, starając się utrzymać narzucone przez nią tempo. Ich występ okazał się bardziej udany, niż można by przypuszczać. Nie obyło się bez pomyłek i fałszowania, ale te niedostatki zostały im darowane, bo muzykowali z prawdziwym entuzjazmem. Podczas gry raz po raz stykały się ich palce i ramiona, co było zgodne z intencjami zesłowiecznego kompozytora. Gdy skoczna melodia dobiegła końca, oboje zaśmiewali się, niepomiernie na to, co pomyślą o tym gościu.

Ze stanu zauroczenia wyrwały ich pojedyncze oklaski. Ktoś bił im brawo. Sara odwróciła głowę, a potem wstała, bo Revell zerwał się na równe nogi. Ujrzała mężczyznę w płaszczu podróżnym, nieco wymiętym po długiej jeździe powozem. Domyśliła się od razu, że jest wysoko urodzony. Poznała to po dumnej minie i wyniosłej postawie. Wymownym potwierdzeniem jej domysłów było zachowanie lady Fordyce, która nadskakiwała przybyszowi z taką miną, jakby znalazła prawdziwy skarb.

Porównanie było nadzwyczaj trafne. Sara po raz pierwszy w życiu widziała tego mężczyznę, ale rozpoznała w nim od razu starszego brata Revella. Wydawał się niższy o parę cali, włosy miał jaśniejsze, ale

podobieństwo rysów i uśmiechu oraz pewność siebie wyczuwalna w każdym geście nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Witaj, Revell. Miło cię widzieć w dobrym nastroju – powiedział Brant, księżę Strachen, z podejrzaną nonszalancją. Nie patrzył na brata, tylko uważnie przyglądał się Sarze. – Przemiła... rozrywka. Wygląda na to, że dobrze zrobiłem, bez wahania przyjmując zaproszenie lady Fordyce. Zapowiada się wesoła Gwiazdka, prawda? Zjawiłem się w samą porę.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Rozczarowałeś mnie, Revell. – Brant westchnął, zajmując fotel stojący w jego sypialni przy kominku, na którym buzował rozpalony przed chwilą ogień. – Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Och, usiądź wreszcie! Czemu stoisz jak podsądny?

– Zważywszy na twój sposób mówienia, tak właśnie się czuję. Okoliczności są takie, że wolę stać.

Brant znowu westchnął, lekko bębniąc palcami po skórzanym podłokietniku fotela.. Zdjął podróżne ubranie i włożył długi szlafrok z jedwabiu malowanego w czerwone i niebieskie smoki. Był to zapewne ostatni krzyk mody, bo spośród trzech braci Claremont Brant uchodził za największego jej znawcę, nie tylko w kwestii stroju, lecz także odpowiedniego towarzystwa i spędzania wolnego czasu. Żył szybko, intensywnie; pociągały go kosztowne rozrywki. Brant porównywał Revella do liścia miotanego wiatrem, a ten uważał z kolei, że brat i jego kompania to istne rekiny z Morza Chińskiego: zwinne, niebezpieczne i gotowe bez namysłu rozszarpać się nawzajem.

– Okoliczności, okoliczności – zirytował się Brant – Jakież one są, drogi bracie? Postanowiłeś odwiedzić ponury, prowincjonalny dwór, zamiast przyjechać na święta do mnie, do Claremont House, a potem od miejscowej dziedziczki otrzymałem pilne doniesienie, w którym oskarża cię, że zachowujesz się w jej domu niczym lis w kurniku.

– Lady Fordyce niepotrzebnie cię niepokoiła – odparł z przekąsem Revell. – Na nikogo tu nie poluję.

– Wcale nie byłem przez nią niepokojony – odparł Brant z denerwującą pobłażliwością. – Zaprosiła mnie po prostu na święta. Skoro ty

uznałeś... A właśnie! Co cię tu zwabiło? Świąteczne potrawy? Ponczumowy słynący w całym hrabstwie? Zdrowe wiejskie powietrze dodające wigoru? Z pewnością był jakiś wabik, więc się skusiłem. Przyjąłem zaproszenie i postanowiłem do ciebie dołączyć.

– Przyjechałeś, żeby dać mi burę. – Rozzłoszczony Revell uderzył pięścią w oparcie fotela. Nie znosił, gdy starszy brat karmił go dobrotliwie, po ojcowsku, jakby różnica wieku między nimi wynosiła nie dwa lata, ale co najmniej dwadzieścia. – Do jasnej cholery! Masz mnie za idiotę? Wiem, co cię tu sprowadza. Z pewnością nie jest to apetyt na świąteczne potrawy.

Brant natychmiast spoważniał.

– W takim razie domyślasz się również, co mam ci do powiedzenia. Zostaw w spokoju tę małą spryciarę, która jest tu guwernantką.

– To nie jest żadna spryciara, tylko panna Sara Carstairs – oznajmił wściekły Revell. – Bądź łaskaw używać tego nazwiska, kiedy o niej wspominasz.

– Sara Carstairs? – Brant spojrzał na niego z jawnym zaciekawieniem. – Twoja znajoma z Kalkuty? Ta sama, która rzuciła cię krótko przed ślubem?

– Owszem, to panna Sara Carstairs z Kalkuty. – Revell skrzywił się nieznacznie. Szkoda, że Brant ma taką dobrą pamięć. – Trochę przesadziłeś. Nie dane mi było poprosić jej o rękę.

– Zamiast guwernantki, panny Blake, mamy pannę Carstairs, poszukiwaczkę mocnych wrażeń.

– To prawdziwa angielska dama – zapewnił Revell. – Jej ojciec był wyższym urzędnikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej, człowiekiem interesu zajmującym się operacjami finansowymi.

– Dziewczyna, która rzuciła cię bez słowa wyjaśnienia, jest teraz w znacznie gorszym położeniu, ty natomiast, jeśli wierzyć naszym bankierom, od tamtego czasu zarobiłeś krocie. – Brant uśmiechnął się pogardliwie. – Pewnie uważa, że złapała Pana Boga za nogi.

Revell pozwolił sobie na kpiący uśmiech. Wcześniej stanął w obronie Sary, przywołując do porządku Alberta Fordyce'a a teraz śmiało przeciwstawił się bratu.

– Można raczej uznać, że to mnie spotkało prawdziwe szczęście.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego ta panna ukrywa się tutaj pod zmienionym nazwiskiem? Gdzie przebywała wcześniej? Z czego się utrzymywała przez tyle lat? Żadna dama nie powinna mieć tylu sekretów. Dotyczy to szczególnie osoby, która mogłaby przyjąć nasze nazwisko.

Brant miał rację i teoretycznie Revell gotów był uznać jego argumenty. Ale owe teorie nie dotyczyły Sary, którą uważał za tę jedną, jedyną. Byli sobie przeznaczeni. Teraz nabrał pewności, że tak jest, a wszelkie przeszkody utwierdzały go jedynie w tym przekonaniu. Wystarczyło przypomnieć sobie, jak radość i smutek uwidaczniają się na jej wyrazistej twarzy niemal w tej samej chwili, w której on sam je odczuwa. Wystarczyły dwa dni, żeby poczuł się przy niej spokojny i szczęśliwy. Od lat daremnie szukał takiego ukojenia.

– Nie znam odpowiedzi na twoje pytania – odparł. – I nie dbam o nie. Pokochałem Sarę w Indiach i wciąż ją kocham. Poza tym nic się dla mnie nie liczy.

– W takim razie jesteś głupszy, niż sądziłem! – rzucił ostro Brant – Pamiętaj, że nazywasz się Claremont. Nie zapominaj, jaka pozycja i stanowisko przypadło ci w udziale na tym świecie. Przypomnij sobie, jak nisko upadł nasz ojciec, narażając na szwank honor rodziny, a także ile

wysiłku ty, George i ja włożyliśmy w to, żeby podźwignąć się z upadku i odzyskać należną godność. Musimy jej teraz strzec.

– Dla mnie to puste frazesy – odparł cicho Revell. Nie chciał kłócić się z bratem. Podjął decyzję i był w zgodzie z sobą i całym światem. A poza tym nadeszła przecież Wigilia. – Zbyt długo przebywałem poza Anglią, żeby liczyć się z konwenansami. Sara myśli podobnie.

– Do diabła z tą idiotyczną gadaniną! – zdenerwował się Brant, wyrzucając w górę ramiona. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co mówił brat. – Posłuchaj mnie i zrób, co należy.

– Taki mam zamiar – powiedział Revell i ukłonił się lekko na pożegnanie. – Niepotrzebnie zwlekałem. Powinienem uczynić to przed laty. Mam nadzieję, że zabrałeś strój odpowiedni na wieczorną maskaradę. Musisz na niej być. Zapowiada się nadzwyczaj ciekawie.

Ladysmith Manor istniał od czterech stuleci. W czasie przebudowy zyskał klasycystyczną fasadę, lecz wewnątrz pozostało wiele detali z czasów, dynastii Tudorów. Strych był prawdziwą skarbnicą. Złożono tam rzeczy pozostałe po generacjach dostojnych przodków.

Dawniej na poddaszu znajdowały się nędzne klitki dla służby, lecz gdy urządzono nowe, wygodniejsze pomieszczenia, ścianki działowe zostały wyburzone, a na strych zniesiono wszelkie zbędne starocie. Leżały poupychane w kufrach, pudłach i starych beczkach.

– Nie do wiary, że nigdy pani tu nie była – dziwiła się Clarissa, prowadząc guwernantkę i wysoko unosząc latarnię. – Gdy moje kuzynki przyjeżdżają w odwiedziny, w czasie deszczu pędzimy na strych.

– Teraz przypominam sobie, że raz cię tutaj znalazłam, ale nie doszłam wtedy zbyt daleko – odparła Sara, podnosząc swoją latarnię. Tupot i szelesty dobiegające ze wszystkich stron to z pewnością odgłosy umykających do

nor wiewiórek i myszy. Mimo popołudnia promienie słońca z trudem wiskały się przez mansardowe okna, a skrzynie i kufry rzucały długie cienie, więc było dość ciemno.

– Po strychu się nie chodzi, tylko buszuje – oznajmiła rezolutnie Clarissa, rozkładając szeroko ramiona.

Chichocząc, zanurkowała między skrzynie, a jej latarnia kołysała się, rzucając smugi światła. Idealna sceneria do zabawy w berka i chowanego.

– Clarisso! – zawołała Sara, nazbyt zaaferowana, żeby podjąć wyzwanie. – Przypominam, że nie jestem twoją kuzynką i nie zamierzam gonić cię wśród tych rupieci. Jeśli natychmiast tu nie wrócisz, marna szansa, żeby udało nam się znaleźć odpowiednie przebranie. Chcesz, żeby ominęła mnie maskarada? Wtedy ty również nie pójdziesz.

Clarissa natychmiast przybiegła z minką skruszonej winowajczynie. Jej postać odbijała się w zmętniałych lustrach opartych o ściany.

– Ubrania są tam, w wielkich skrzyniach – powiedziała, wskazując szereg gigantycznych kufrów podróżnych o krawędziach pogryzionych przez myszy i zaśniedziałych okuciach ze spiżu. – Leżą w nich najlepsze rzeczy. Otwórzmy pierwszy z brzegu.

Śmiało uniosła zaokrąglone wieko, przy okazji wzniecając chmurę kurzu. Sara kichnęła i musiała użyć chusteczki, a Clarissa przetrząsała zawartość kufra. Wyjęła z niego kreację ze sztywnej tkaniny o barwie kości słoniowej, haftowaną w blad różowe kwiatki spłowiałe ze starości. Takie suknie modne były na dworze króla Jerzego I.

– Ta jest całkiem ładna – uznała dziewczynka, przykładając ją do siebie. Długa spódnica sfałdowała się wokół jej stóp. – Ma tylko małą plamkę na rękawie.

Sara wzięła sukienkę i uniosła ją wysoko, żeby dokonać oceny.

– Będę wyglądać jak duch twojej prababki – odparła, kręcąc głową. – Poza tym kolor jest okropny.

Clarissa zmarszczyła brwi i popatrzyła na Sarę, jakby ujrzała ją po raz pierwszy w życiu, a potem znowu pogrzebała w kufrze.

– Co pani myśli o tej? – spytała z nadzieją, pokazując zieloną jedwabną suknię z podobnymi do kapuścianych listków falbankami przy rękawach i dekolcie, uszytą dla pani dwa razy grubszej niż Sara.

– O nie! – Sara zabawnie zmarszczyła nos i roześmiała się. – Byłabym w niej podobna do praprababki grubej jak beczka.

Clarissa westchnęła boleśnie i wróciła do poszukiwań. Sara otworzyła następną skrzynię. Początkowo zaproszenie na maskaradę, z którym wystąpiła lady Fordyce, wprawiło ją w popłoch, bo uznała, że takie rozrywki nie przystoją szacownej guwernantce. Teraz zmieniła zdanie. Wiedziała, że Revell wybiera się na bal, chciała więc włożyć piękny strój, żeby olśnić go jak w Kalkucie.

Uśmiechnęła się smutno, wspominając strojne suknie uszyte z materiałów, które służyły Hinduskom jako *sari*. Były to cieniutkie jedwabie, lekkie jak piórko, barwne niczym kwietne łąki. Zabawne, że dawniej różniła się od Angielek z powodu upodobania do mocnych barw; teraz również wyglądała inaczej niż panie z towarzystwa, ponieważ jako guwernantka nosiła wyłącznie czerń i brąz. Ciekawe, czy znajdzie suknię odpowiednią na dzisiejszy wieczór.

Ostrożnie szukała wśród niezliczonych warstw starych ubrań. Niektóre koronki były tak zetlałe, że rozsypywały się w palcach. Być może trzeba się będzie zadowolić kostiumem widmowej prababki.

Na samym dnie kufra czekało ją niezwykle znalezisko. Suknia z ciemnoniebieskiego aksamitu wyglądała jak uszyta specjalnie na maskaradę

według mody sprzed stulecia z okładem, kiedy to król Karol zaczął urządzać bale maskowe. Miała dopasowany gorset sznurowany czerwoną wstążką, szeroką marszczoną spódnicę przetykaną srebrem oraz złotem i naszywaną kryształowymi paciorkami, które lśniły jak krople rosy. Bufiaste rękawy ujęte w wąskie mankiety obramowane koronką miały pionowe rozcięcia ukazujące czerwoną satynową podszewkę. Całości dopełniało głębokie wycięcie w karku, także obszyte koronką, oraz efektowny kołnierz. Sara nie widziała dotąd równie oryginalnej kreacji i miała pewność, że i Revell przeżyje podobne zaskoczenie. Clarissa jęknęła z zachwytem.

– Och, panno Blake! Będzie pani wyglądała jak królowa elfów!

Sara uśmiechnęła się radośnie i obejrzała suknię, żeby ocenić rozmiar. Czasu miała niewiele, a zatem w grę wchodziły jedynie drobne poprawki. Na szczęście długość była idealna, a sznurówka gorsetu pozwalała dopasować kreację w talii. Prawdziwe gwiazdkowe cudo lśniące od złota i kryształowych paciorków.

Pospiesznie zdjęła codzienną suknię i włożyła przez głowę aksamitne przebranie. Wstrzymała oddech, zasznurowała gorset i zawiązała z przodu szkarłatną wstążkę. Po raz pierwszy miała na sobie taki strój, ale wiedziała, że jest dla niej idealny. Suknia leżała jak ulał. Na samą myśl o zachwyconym spojrzeniu Revella ogarnęło Sarę radosne oczekiwanie.

– Chwileczkę, panno Blake! Wiem, czego tu jeszcze trzeba. – Clarissa dała nura między skrzynie i wróciła z płaską, kwadratową szkatułką. Kiedy uchyliła wieczko, oczom Sary ukazał się diadem z fryzowanymi piórami i barwnymi paciorkami, zapewne dodatek do aksamitnej kreacji.

– Nie miałam pojęcia, że to komplet. Moja kuzynka i ja zawsze wyobrażałyśmy sobie, że odkryłyśmy koronę królowej elfów. Coś w tym jest, prawda, panno Blake?

Pióra były nieco zwichrzone, tu i ówdzie brakowało koralika, co stanowiło dowód, że dziewczynki chętnie i często nosiły diadem, ale gdy Sara włożyła go na głowę i przejrzała się w lustrze, zapomniała o drobnych uszkodzeniach. Ten uroczy drobiazg był chyba zaczarowany. Nie potrafiła inaczej wyjaśnić przemiany, która nagle się w niej dokonała.

– Nikt pani nie rozpozna – oznajmiła Clarissa, stając obok i spoglądając na podwójne odbicie. – Ustawi się do pani kolejka wytwornych tancerzy, a wstrętna panna Talbot będzie podpierać ścianę.

– Clarisso! – skarciła ją bez przekonania Sara. – Trudno powiedzieć, czy ktoś zechce ze mną zatańczyć. Idę na bal, żeby dotrzymać ci towarzystwa, a nie szaleć na parkiecie. I cóż z tego, że nikt mnie nie rozpozna? Po to wkłada się kostium, żeby udawać kogoś innego.

– Nikt pani nie rozpozna – powtórzyła z naciskiem Clarissa. – Tylko lord Revell. On będzie wiedział.

– Ach tak – mruknęła Sara. – Jak się zorientuje, skoro inni panowie dadzą się zwieść?

– On panią kocha – odparła z powagą Clarissa. – Poznałam to po jego spojrzeniu. Całkiem jak w bajkach. Urodziwy panicz przybył, żeby panią uratować i obsypać klejnotami. Zakochał się w pani od pierwszego wejrzenia. Wszystko jak w książce.

– Życie nie jest bajką – powiedziała cicho Sara i wzięła dziewczynkę za rękę. Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, we wspaniałej krainie słoni i tygrysów wierzyła w magię cudownych opowieści. – Dlatego tak chętnie czytamy czarodziejskie historie. Niestety, suknia królowej elfów nie odmieni mojego życia. Wątpię, żeby lord Revell zabrał mnie do swego zamku w krainie obłoków. Kiedy obudzimy się w świąteczny poranek, będę nadal guwernantką.

– Ale ja chcę, żeby pani z nim odjechała! – Clarissa poczerwieniała z przejęcia. – Mama mówi, że przyszłym roku pojedę na pensję jak wszystkie starsze dziewczynki, a pani nie będzie już tutaj potrzebna. Kto się wtedy panią zaopiekuje? Co pani wtedy zrobi?

Sara uśmiechnęła się smutno i zdjęła z głowy urokliwy stroik. Zdawała sobie sprawę, że nieuchronnie zbliża się dzień, gdy przestanie być guwernantką Clarissy, i z ciężkim sercem myślała o pożegnaniu.

– Z początku ogarnie mnie okropnie przygnębienie – odparła. – Będę za tobą tęskniła. Potem zostanę guwernantką w innym domu i będę uczyć jakąś dziewczynkę przyrody, francuskiego oraz ślicznych melodii odpowiednich do zagrania wieczorem w salonie.

– Ale tam nie zadbają o panią tak jak jego lordowska mość – upierała się Clarissa, ściskając mocno dłoń Sary. – Nie potrafią. – Odwróciła się i stanęła na palcach, żeby dotknąć jej ramienia. – O tutaj – dodała, kładąc paluszek na wysokości serca. – W tym miejscu trzeba przypiąć gałązkę ostrokrzewu, aby lord Revell miał pewność, że mu pani sprzyja. On nosi tu swoją gałązkę z myślą o pani.

– Nie ja, lecz ty wsunęłaś mu ją do dziurki od guzika – przypomniała Sara, choć zauważyła, że miał ostrokrzew przy surducie, gdy grali razem na fortepianie.

Zniecierpliwiona Clarissa pokręciła głowę, nie dając się zbić z tropu.

– Nosi wciąż tę samą gałązkę, którą dostał w zagajniku. Chciałam wślizgnąć do sali balowej i uszczknąć dla pani kawałeczek, ale po wtargnięciu Alberta mama kazała zamknąć drzwi na klucz. Otworzy je dopiero wieczorem.

– Czyli już wkrótce. – Sara pochyliła się i pocałowała dziewczynkę w czoło, przejęta i zdziwiona jej troskliwością, która objawiła się właśnie

teraz, w przeddzień Bożego Narodzenia. Nie tylko naśladowała zasnę matkę, lecz także rozumiała i wyczuwała magię świąt. – Ostrokrzew nie więdnie, a jego liście i owoce przez całą zimę zachowują żywe kolory. Wieczorem będą równie świeże, jak wczoraj.

– Proszę mi obiecać, że przypnie pani gałązkę do sukni – nie dawała za wygraną Clarissa, z niepokojem patrząc Sarze w oczy. – Dzięki temu pani oraz lord Revell odnajdziecie się podczas balu i nie będziecie sami na Gwiazdkę.

– Przyrzekam – powiedziała cicho Sara, przytulając dziewczynkę. Zdecydowała, że spróbuje pomóc losowi, ale przyszłość nadal była tajemnicą. – Jak mogłabym odmówić, skoro tak ładnie prosisz? A teraz muszę się przebrać i zaprowadzić cię do sypialni.

– Panno Blake, wcale nie jestem zmęczona.

– Albo teraz wypoczniesz, albo wieczorem zostaniesz w swoim pokoju. Tak postanowiła twoja mama i uważam, że to słuszna decyzja.

Clarissa trochę marudziła, ale zeszła na dół. Sara oddała małą pod opiekę pokojówki czuwającej zwykle nad nią podczas drzemki. Obiecała wrócić za dwie godziny. Razem miały przebrać się w balowe kostiumy. Podejrzewała, że mimo stanowczych zaleceń lady Fordyce Clarissa nie zaśnie. Nic dziwnego, skoro w całym domu panował nastrój radosnego oczekiwania.

Sara zaniosiła suknię owiniętą w stare płótno do pralni, gdzie kilka pokojówek z żelazkami w rękach starało się usunąć ostatnie zgniecenia pozostałe na kreacjach pań. Inne przyszywały odprute falbanki i wstążki. Rozprasowanie stuletnich fałdek było znacznie poważniejszym zadaniem. – Sara odświeżyła aksamit nad parą i wyczyściła go najlepiej, jak mogła,

licząc na to, że w migotliwym blasku świec oświetlających salę balową najoporniejsze przebarwienia nie będą się rzucać w oczy.

Zostawiła suknię na wieszaku w pokoju szkolnym, gdzie miały się przebrać z Clarissą, i nucąc cicho, prawie wbiegła po schodach do swego pokoju. Od dawna nie myślała tyle o swoim wyglądzie; całkiem zapomniała, jak przyjemnie jest wystroić się od czasu do czasu. Postanowiła uczesać się inaczej niż zwykle, żeby fryzura pasowała do efektownej sukni. Zamiast ciasnego koka można by upiąć koronę z warkoczy, zostawiając kilka drobnych loczków... Zastanawiała się nad tym, otwierając drzwi.

– Saro, mój skarbie, nareszcie – powiedział Revell, idąc do niej z wyciągniętymi ramionami. – Całe wieki czekam tu na ciebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Saro, najmilsza, gdzie się ukrywałaś przez całe popołudnie? – zagadnął ponownie, próbując ją objąć.

Cofnęła się tylko o jeden krok, lecz nadał zachowywała dystans i zerkała nerwowo na korytarz przez drzwi, które zostawiła uchylone.

– Byłam z Clarissą na strychu, a potem w pralni. Revell, nie możesz zostać w moim pokoju.

– Dlaczego? – zapytał, ujmując jej dłoń. Tym razem nie zaprotestowała. – Po raz pierwszy odkąd przyjechałem do tego domu, mam cię wyłącznie dla siebie.

Machinalnie zerknęła na wąskie, panieńskie łóżko, a potem spłonęła rumieńcem, zawstydzona własną śmiałością. Mansardowy pokoik był zresztą skromny, a jednocześnie jak najlepiej świadczył o charakterze lokatorki. Revell siedział tu dostatecznie długo, by przyjrzeć się nielicznym ruchomościom Sary i pojąć, jak bardzo jej obecne położenie różni się od zbytkownego życia w Indiach. Przypomniawszy sobie również zniszczone rękawiczki, zniszczone, ale schludne i starannie połatane. Niby drobiazg, a jakże przykry. Ta odmiana zasmuciła go i oburzyła. Wspaniała, cudowna Sara nie zasłużyła na taki los.

Pewien drobiazg sprawił jednak, że poweselał i uśmiechnął się do siebie. Na ramce niewielkiego lusterka ujrzał tygrysa, którego wyciął z papieru i źle skleił. Swoją niezdarnością oburzył Clarissę, lecz Sara zachowała figurkę mimo przekrzywionej głowy oraz bąbli zastygłego kleju. Revell mógł obsypać ją szafirami i perłami z Morza Chińskiego, ale zadowolili się nieudaną świąteczną ozdobą. I jakże tu jej nie kochać? Jak nie marzyć o wspólnej przyszłości?

– Po prostu... nie wypada, żebyś tu przebywał – upierała się, lecz dłoń zaciśnięta wokół jego palców zadawała kłam tej uwadze.

– Pewnie dlatego, że do łóżka mamy zaledwie parę kroków, prawda? – droczył się z nią. – Pamiętasz wieczory we dwoje, Saro? Siedzieliśmy na wielkiej tekowej huśtawce w cienistym ogrodzie przy Chowringhee Road, rozmawiając i śmiejąc się, aż księżyc zbladł. – Przyciągnął ją do siebie, zniżył głos i mówił dalej uwodzicielskim tonem. – Niczego nie zapomniałaś mimo zimna i śniegów tego kraju. W Kalkucie za dnia żar lał się z nieba, spotykaliśmy się więc nocą i było nam wtedy jak w raju.

Przytulił ukochaną i objął ramieniem jej talię, mnąc grubą, wełnianą tkaninę, z której uszyta była prosta suknia. Gdy Sara znalazła się w jego uścisku, odżyły inne wspomnienia, wciąż świeże i ekscytujące. Przywarła do niego z westchnieniem, jakby odnalazła wreszcie swoje miejsce.

– Nie wypada... żebyś tu przebywał – powtarzała, choć bez przekonania, cichym, urywanym głosem. – To niewłaściwe, a ludzie... będą plotkować.

– Już gadają – odparł. –I co z tego? Niech plotkują, a my słuchajmy, bo mówią do rzeczy. Ja i ty chyba jako ostatni w tym ludnym domostwie nie pojęliśmy jeszcze, na co się zanosi.

– Racja – szepnęła z uśmiechem, dotykając przypiętej do surduta gałązki ostrokrzewu, tej samej, którą dała mu wczoraj Clarissa. – Wygląda na to, że okazaliśmy się największymi głuptasami w Ladysmith.

– Raczej ostrożnymi głuptasami – poprawił, łagodnie głaszcząc jej biodro i pośladek. Przyciągnął ją bliżej. – Przyznaję jednak, że nasza ostrożność graniczy z tępotą.

Zachichotała, a ten uroczy, nieco stłumiony dźwięk wprowadził jego ciało w miłą wibrację. Sara spojrzała mu w oczy. Długie rzęsy rzucały cień na

policzki. Objęła dłonią jego kark, wsunęła palce w ciemne włosy i opuszkami palców rysowała na skórze małe kółka.

– Ogrodowa huśtawka wyścielona była czerwonymi poduszkami – szepnęła, jakby chciała mu powierzyć jakiś sekret. – Miała kotary z żółtego jedwabiu, zwisające do samej ziemi. Kiedy były zaciągnięte, kryliśmy się przed całym światem. Pamiętasz? Czasami zrzucaliśmy obuwie i kołysaliśmy się jak zawieszoni między niebem a ziemią, niczym w bajce.

– Niczym w bajce – powtórzył, całując ją w czubek głowy. – Nie zapomniałem również, *memsahib*, czemu huśtawka tak mocno się kołysała i co wprawiało ją w ruch.

Tamte wspomnienia na zawsze wyryły się w jego pamięci. Byli oboje bardzo młodzi i namiętnie zakochani. Mieszkali w Indiach, gdzie nawet świątynie dekoruje się rzeźbami przesyconymi erotyką, a ojciec Sary był tak zaaferowany własnymi sprawami, że jego ufność graniczyła z niedbałością.

Niektórzy powiedzieliby, że ten przykład wymownie świadczy, jak zgubna jest dla młodych panien lektura Fieldinga, Voltaire'a czy Rousseau, ale Revell wiedział, że Sara była po prostu szczerą i spontaniczną. Ofiarowała mu dziewictwo, a potem śmiało podążała z nim drogą rozkoszy. Spędzali cudowne chwile na ocienionej jedwabiem huśtawce, a także pod białą chmurą moskitiery w łóżku Sary. Była czarująca, pomysłowa, mądra, niewyobrażalnie czuła, nadzwyczaj przewidująca. Nic dziwnego, że nie chciał potem mieć do czynienia z innymi kobietami, skoro żadna nie mogła się z nią równać.

Roześmiała się znowu, gdy całował jej czoło i brwi.

– Pamiętasz czarki z kremem doprawianym płatkami róż, które dla nas przynosiłam? – zapytała. – Karmiłam cię maleńką łyżeczką, żeby potem scałować skrawki płatków z twoich ust.

– W ten sposób, prawda? – mruknął, całując ją wreszcie.

Gdy postanowił zakraść się do pokoju na mansardzie, miał najczystsze intencje. Próbował zachować należną powściągliwość. Zamierzał tylko ująć dłoń Sary i przemówić do niej z uszanowaniem należnym damie. Nosił przecież na sercu, niedaleko gałązki ostrokrzewu, pierścionek zaręczynowy z szafirem. Ale gdy ujrzał Sarę, dotknął jej i wziął ją w objęcia, zabraniał o konwenansach. Pozostała jedynie głęboka pewność, że stoi przed nim ta jedna, jedyna, wyśniona, która była całym jego życiem.

Sara rozchyliła usta, tak samo jak on spragniona namiętnego pocałunku. Revell nie miał wątpliwości, że panieńskie łóżko będzie dla nich równie wygodne, jak wysłana poduszkami ogrodowa huśtawka. Porwał Sarę na ręce i odwrócił się ku wąskiemu pościeliu.

– Panno Blake? – Ktoś pchnął drzwi i do pokoju wpadł snop światła z korytarza, gdzie paliły się świece. – Panno Blake, czy... Och!

Młoda pokojówka na moment zamarła z otwartymi ustami, ale szybko zreflektowała się i grzecznie dygnęła.

– Wasza lordowska mość – wymamrotała poniewczasie, kręcąc w palcach obrębek fartucha. – Uniżenie przepraszam, milordzie.

Do diabła, powinienem zamknąć drzwi na klucz, pomyślał Revell. Czemu tego nie zrobiłem? Co za pech! Czy ta cholerna służąca nie mogła przyjść pół godziny później? Jak śmiała im przeszkodzić?

– Niech cię piorun trzaśnie, głupia dziewczyno! – grzmiał rozzłoszczony. – Co też...

– Dość, Revell. Proszę, milcz – przerwała zdyszana Sara, wysuwając się z jego objęć.

Chcąc nie chcąc, musiał ją postawić na podłodze. Ustąpił z ciężkim sercem, świadomy, że Sara jeszcze nie należy do niego. Była związana z

rodziną Fordyce'ów. Żeby ich pokreśliło... Przez wzgląd na nich musiała natychmiast wziąć się w garść, choć suknię miała zmiętą, włosy w nieładzie, a usta spuchnięte od pocałunków.

– Mów, Becky. Co się stało?

– Och, panno Blake, to okropne. Na domiar złego w samą Wigilię – biadolila drżącym głosem służąca. – Panienska Clarissa zniknęła.

Sara i Revell, najszybciej jak się dało, torowali sobie drogę w gęstym tłumie gości, domowników i służących zebranych na schodach od frontu. Przybiegli tu wszyscy, zaniepokojeni losem zaginionej dziewczynki. Każdy miał własną koncepcję, gdzie przebywa i jak mają przebiegać poszukiwania. Przeprowadzono z psiarni myśliwską sforę sir Davida. Zwierzęta ujadły z zapalem, gotowe podjąć trop. Blask latarni wydobywał z mroku muszkiety o długich lufach trzymane przez mężczyzn wyruszających Clarissie na ratunek. Niestety, pogoda im nie sprzyjała. Zaczął padać śnieg. Wielkie, mokre płatki dodałyby uroku radosnej Wigilii, ale dla poszukiwaczy były prawdziwym utrapieniem.

Revell i Sara dotarli wreszcie do śmiertelnie przerażonej lady Fordyce, która stała obok Alberta na najniższym schodku.

– Och, panno Blake, nareszcie! – krzyknęła, chwytając rękę Sary. – Proszę zaraz powiedzieć, kiedy widziała pani ostatnio moją Clarissę!

– Byłyśmy na strychu, milady, a potem zaprowadziłam ją do dzieciennego pokoju, żeby się zdrzemnęła – odparła pośpiesznie Sara. – Annie miała ją przebrać.

Słyszając imię służącej, lady Fordyce jeszcze bardziej spochmurniała.

– Annie, zamiast siedzieć w pokoju dzieciennym i czuwać nad Clarissą, pobiegła do stajni na schadzki z parobkiem.

Sara wstrzymała oddech, nagle ogarnięta poczuciem winy. To prawda, że podczas snu i odpoczynku Clarissy miała wolne, bo wtedy pilnowała jej pokojówka. Jednak było więcej niż pewne, że podekscytowana dziewczynka nie zaśnie. Sara wyrzucała sobie, że z nią nie została. Jak mogła winić Annie z powodu zaniedbania obowiązków, skoro sama zachowała się identycznie?

Może to kara niebios za nieuczciwość? Sara wyrzucała sobie teraz, że zachęcała Revella do pieszczot i pocałunków, zanim powiedziała mu całą prawdę, którą miał prawo znać.

Czuła jego palce zaciśnięte wokół swoich, jakby chciał jej dodać otuchy.

– Może Clarissa wróciła na strych? – powiedział. – Dzieci uwielbiają takie kryjówki.

– Niestety, milordzie – odparła zgnębiona lady Fordyce. – Przeszukaliśmy cały dom, wszystkie zakamarki. Pewnie wyszła na drogę, żeby popatrzeć na zajeżdżające powozy.

– Clarissa nie ma zwyczaju włóczyć się bez celu – zaprotestowała Sara.

– Wręcz przeciwnie, panno Blake – odparł władczym tonem Albert. – Jest wyjątkowo krnąbrną dziewczynką i zawsze kieruje się swoim widzimisię.

Sara pokręciła głową i otuliła się peleryną, bo wiał zimny wiatr.

– Z całym szacunkiem, panie Fordyce, ale moim zdaniem jest po prostu stanowcza i chce urzeczywistnić swój cel. Nie wyszłaby z domu bez wyraźnej potrzeby.

– Bzdura! – rzucił pogardliwie Albert. – To oczywiste, że wymknęła się na przekór wszystkim. Uważam, że porwali ją Cyganie.

– Cyganie! – jęknęła lady Fordyce. – O nie, Albercie! Moje biedne dzieciątko!

– Ależ tak, mamó – upierał się jej syn, biorąc od lokaja pistolety. – Podobno banda tych oberwańców i złodziei przyczaiła się na polu niedaleko miasta. Sama wiesz, że ilekroć nadarzy się sposobność, porywają dzieci z dobrych rodzin.

Claremont, jedziesz z nami, prawda? Z pewnością miałeś wcześniej do czynienia z takimi dzikusami.

– Pojechałbym, gdybyś oprócz tych plotek i pogłosek mógł przedstawić jakieś dowody – odparł Revell bez emocji. – Sam wiesz, że większość Romów to chrześcijanie. Nie zamierzam bez wyraźnego powodu niepokoić ich w Wigilię.

– Moja siostra zniknęła – odciął się Albert. – Dla mnie to wystarczający powód. Wkrótce wyrwę ją z ich łap, obiecuję ci mamó. Aha, jest ojciec z lordem Peterborough i resztą.

Albert stanowczo ujął ramię matki i zaprowadził ją do sir Davida, który był już w siodle, gotowy stanąć na czele oddziału sąsiadów wyprawiających się na poszukiwanie jego zaginionej córki.

– Cyganie! – rzekł z niesmakiem Revell. – Po co im Clarissa, skoro mają sporo własnego potomstwa. Już prędzej byłbym skłonny uwierzyć, że porwały ją leśne elfy. Mogę założyć się o sto gwinei, że nie odeszła daleko od dworu.

– Znam dobrze Clarissę – odparła z przejęciem Sara, próbując wyobrazić sobie, dokąd mogła pójść jej pupilka. – Wiem, że na pewno nie opuściłaby domu dla zwykłego kaprysu. Gdybym jej nie...

– To nie twoja wina – powiedział cicho. – Nie bierz na siebie całej odpowiedzialności.

Sara w milczeniu pokręciła głową. Jak usprawiedliwić siebie w takiej chwili? Na domiar złego po raz pierwszy w życiu czuła się zupełnie bezradna.

– Clarissa nie wyszłaby z domu dla kaprysu – powtórzyła z uporem. – Revell! Chyba wiem, gdzie ona jest! – Poderwała się i mocno klasnęła, ożywiona nadzieją. – Na pewno tam poszła.

– Prowadź, Saro – odparł z powagą. – Nie ma czasu do stracenia. Im szybciej ją znajdziemy, tym lepiej.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Revell szedł za Sarą przez ogród, potem przez pola. Wysoko niósł latarnię, oświetlając drogę w ciemności i śnieżnej zadymce. Wiatr szarpał płaszcze, a wielkie, mokre płatki śniegu lepły się do twarzy podczas forsownego marszu.

Idąca obok Sara miała koszyk, do którego zapakowała koc, suche skarpetki i rękawiczki. Oboje milczeli. Wędrówka po bezdrożach była wyczerpująca, więc brakło im sił do rozmowy. Nie prosili o pomoc nikogo z ludzi zebranych przed dworem. Jeśli potwierdzą się domysły Sary, wkrótce sami przyprowadzą Clarissę do domu.

Delikatnie ścisnął dłoń Sary ukrytą w zimowej rękawiczce. Spojrzał na nią. Spod kaptura oraz grubego szala owiniętego wokół szyi i zasłaniającego usta zobaczył tylko oczy lśniące z przejęcia. Domyślał się, że jego ukochana wie o swojej uczennicy dużo więcej niż najbliższa rodzina, istniało więc spore prawdopodobieństwo, że odnajdzie ją tam, dokąd zmierzali. Revell mógł jedynie towarzyszyć Sarze w poszukiwaniach i modlić się w duchu, żeby miała rację.

Odsunęła szal i powiedziała:

– Już dochodzimy. – Wskazała majaczącą przed nimi ciemną kępę ostrokrzewu. – Trzeba tylko zejść z pagórka. Clarisso! – Zbiegła po niewielkiej pochyłości, ślizgając się na mokrym śniegu. – Clarisso, to my! Panna Blake i lord Claremont! Przyszliśmy, żeby cię zabrać do domu. Pora iść na maskaradę! Clarisso, błagam, odezwij się.

Weszła między ciemne krzaki, strącając z gałęzi biały puch. Revell uniósł latarnię i oświetlił polankę.

Nikogo.

– Nie ma jej – powiedziała zrozpaczona Sara. – Revell, nie miałam racji. A taka byłam pewna, że ją tu znajdziemy. Uparła się, żeby dać mi gałązkę ostrokrzewu podobną do twojej. Miałam przypiąć ją do sukni, abyś wiedział, że ja... nadal... – Urwała i zasłoniła usta ręką, powstrzymując łkanie.

– Biedactwo – szepnął, stawiając latarnię na śniegu, i wziął Sarę w ramiona. – Znajdziemy Clarisę. Nie upadaj na duchu, kochanie. Wkrótce trafimy na jej ślad i wszystko dobrze się skończy.

– Nie mam pojęcia, dokąd poszła. – Sara pokręciła głową, starając się powstrzymać łzy spływające po policzkach wraz z topniejącymi płatkami śniegu. – To wyłącznie moja wina, że zaginęła. Wiedziałam, jak bardzo cieszyła się z powodu świąt i balu maskowego, powinno więc być dla mnie oczywiste, że nie zaśnie. Gdybym z nią została zamiast...

– Przestań się obwiniać – przerwał ostro Revell. – Nie pozwolę, żebyś...

– Panna Blake? – Z ciemności dobiegł słaby, drżący głosik. – Czy to pani?

– Clarissa! – Sara odwróciła się natychmiast i podbiegła do dziewczynki stojącej na skraju zagajnika, skulonej z zimna w mokrym od śniegu czerwonym płaszczyku. Revell widział z daleka, że mała dygoce. – Nareszcie, moje kochane jagniątko!

– Ja... nie wierzyłam, że to pani – odparta Clarissa i, szlochając, rzuciła się w objęcia guwernantki. – Tak strasznie się bałam!

– Sama widzisz: oto ja we własnej osobie – zapewniła czule Sara, płacząc z radości i ulgi. Strzepnęła śnieg z płaszcza dziewczynki i przytuliła ją mocno. – Jest ze mną lord Revell, więc nie ma się czego bać. Daj rączki... O Boże, są lodowate!

– Chciałam zerwać dla paru gałązkę ostrokrzewu – tłumaczyła Clarissa płaczącym głosem, gdy Sara zdejmowała jej mokre rękawiczki i nakładała suche, które ze sobą przyniosła. – Zaczął padać śnieg, zrobiło cię całkiem ciemno i wtedy zgubiłam drogę...

– A teraz wrócisz do domu – wtrącił Revell, otulił ją kocem i wziął na rękę. Zdziwił się, że jest taka lekka. Był wzruszony, gdy ufnie się do niego przytuliła. Ciekawe, czy zdawała sobie sprawę, że groziło jej poważne niebezpieczeństwo. Gdyby błąkała się jeszcze z godzinę, mokra i zmarznięta, tegoroczne święta byłyby na pewno bardzo smutne.

Nie potrafił się na nią gniewać. Niech inni dorośli, którzy mają takie prawo i obowiązek, dadzą jej burę. Lepiej od nich rozumiał, czym jest pragnienie wędrówki i zadowolenie z osiągniętego celu, choć jego wyprawy były znacznie odleglejsze.

– Wracajmy do domu. Wszyscy tam na ciebie czekają – powiedział, starannie otulając pledem nogi dziewczynki. – Nie chcemy przecież, żeby słonie i tygrysy w sali balowej zamartwiały się przez siebie.

– A gałązka ostrokrzewu dla panny Blake? – przypomniała Clarissa słabym głosem.

– Zgodzisz się, żebym oddał jej swoją? – spytał Revell. Sara wzięła koszyk i latarnię. – Czy tak będzie dobrze?

– Oczywiście, milordzie – uznała Clarissa i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. – Doskonały pomysł. Zresztą ostrokrzew był potrzebny, żeby pan odnalazł pannę Blake, ale i tak się udało, prawda?

– Naturalnie, śliczna panienko – odparł, widząc uśmiech na zaśnieżonej twarzy Sary. Dziś wieczorem zamierzał poprosić ją o rękę. Miał wszelkie powody, żeby tak postąpić, i żadnego, który odwiódłby go od tej decyzji. – To nie ulega wątpliwości.

Weszli do domu przez kuchnię, gdzie przywitały Clarissę okrzyki radości i zdumienia. Szczęśliwa i zadowolona natychmiast przybrała pozę udzielnej księżnej i nie bacząc na czerwony nosek, hojnie rozdawała łaskawe uśmiechy. Z szeroko rozłożonymi rączkami stała na taborecie przysuniętym do kominka, a Sara i skonfundowana pokojówka Annie zdejmowały jej mokre buciki, pończochy i ubranie. Kucharka w mig podała gorącą czekoladę oraz mleko i herbatniki.

Gdy w drzwiach między kuchnią a zmywalnią stanęła zdyszana lady Fordyce, Clarissa niepomna na godność małej królowej oraz wiernych poddanych, rzuciła się w ramiona kochającej matki. Teraz niczego już nie brakowało jej do szczęścia.

Sara ze smutkiem uświadomiła sobie, jak nietrwała jest więź łącząca ją z uczennicą. Tego wieczoru niewiele brakowało, żeby i to straciła. Wpatrzona w matkę i córkę, powoli zdejmowała szal owinięty ciasno wokół szyi, po której spływały topniejące płatki śniegu. Pora uporządkować własne życie, uznała w duchu. Zbyt długo skupiała się na udawaniu kogoś innego i obawach przed ujawnieniem prawdziwej tożsamości. Trzeba wyznać prawdę w nadziei, że nagrodą będzie wielka radość. Oby tylko Revell zrozumiał i przebaczył. Niech zadziałają gwiazdkowe czary!

– Mimo przeszkód wigilijna maskarada jednak się odbędzie – powiedział Revell, pochylając się ku niej. Mówił cicho, porozumiewawczo, i niepostrzeżenie objął ją w talii jak za dawnych lat. – Mamy tylko niewielkie opóźnienie. Nim pobiegiesz na górę, żeby się przebrać, chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Sam na sam.

Popatrzyła na niego z obawą, niepewna, czy odkrył sekret, który postanowiła mu dzisiaj powierzyć. Uśmiechał się czule, a nawet mrugnął żartobliwie. Ani śladu podejrzliwości czy potępienia.

– Chodźmy – zdecydowała, biorąc zapaloną świecę. Wymknęli się niepostrzeżenie z zatłoczonej kuchni i skręcili w niski korytarz wiodący do spiżarni i piwnic. W końcu weszli do dworskiej pralni. Sara postawiła świecę na brzegu dębowej balii.

– Tu nikt nam nie przeszkodzi – orzekł Revell, zamykając drzwi. – Chyba że w tym domu służba ma zwyczaj w Wigilię pracować koszule pana domu.

Sara nie zwracała uwagi na jego żarty. Zaciśnęła mocno splecione dłonie i zaczęła niepewnie:

– Tyle mam ci do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć...

– W takim razie ja to zrobię, najdroższa – wpadł jej w słowo, obejmując ją. – Kocham cię, Saro, i...

– Nie! – krzyknęła zbolalym głosem, pokręciła głową i wyślizgnęła się z jego objęć. – Nie mam prawa słuchać twoich wyznań, póki nie dowiesz się wszystkiego.

– A zatem na początek przyjmij to – odparł łagodnie, wręczając jej gałązkę ostrokrzewu, którą nosił przy surducie.

– Doda ci odwagi. Spełnimy również życzenie Clarissy.

Nie protestowała, gdy położył wiecznie zieloną roślinkę na jej dłoni, którą musnął opuszkami palców. Lśniące, ostro zakończone liście; symbol Anglii, jakże odległy od wszystkiego, co Sara знаła w Indiach; kwintesencja teraźniejszości, żadnych odniesień do tego, co było.

Zdesperowana odwróciła się do Revella plecami, bo inaczej nie byłaby w stanie wykrztusić słowa.

– Z pewnością zadajesz sobie pytanie, dlaczego zaszyłam się tutaj, daleko od Kalkuty, na dodatek pod zmienionym nazwiskiem.

Milczał przez chwilę, a Sara cierpiała męki niepewności.

– Tak – przyznał w końcu. – Rzeczywiście się nad tym zastanawiałem, lecz jedynie dlatego, że chcę dzielić z tobą absolutnie wszystko.

Ale nie hańbę, pomyślała z goryczą. Uczciwy człowiek nie staje z własnej woli pod pręgierzem. Westchnęła głęboko, świadoma, że złe wspomnienia są tak przerażająco wyraziste, jakby te okropności zdarzyły się nie przed sześcioma laty, ale sześć dni temu.

– Wkrótce po twoim wyjeździe z Kalkuty do Madrasu – zaczęła opowieść, zaciskając palce na łodyżce ostrokrzewu – przyszło do nas w czasie kolacji trzech starszych panów, wyższych urzędników kompanii. Kazali mi pójść na górę. Rozmowa trwała do północy. Zamknięta w sypialni wyraźnie słyszałam ich głosy. Nie była to kłótnia, tylko bardzo nieprzyjemna wymiana zdań. Ojciec mówił najgłośniej. Dlatego nie mogłam zasnąć. Potem dobiegł mnie huk wystrzału.

Poczuła na ramionach dłoń Revella, ale nie odsunęła się, zaabsorbowana wspomnieniami.

– Z czyjej broni, najdroższa? Kto strzelał?

– Ojciec – wyznała drżącym głosem. – On... Zmusili go do samobójstwa. Targnął się na własne życie. Służący nie chcieli mnie wpuścić, ale odepchnęłam ich i zobaczyłam go. Leżał na podłodze z pistoletem w dłoni. Tyle krwi... jego zwłoki...

– Saro, nie wiedziałem...

– Nie. Nie. – Zacisnęła powieki i pochyliła głowę, próbując zatrzeć w pamięci ostatnie wspomnienie o nieżyjącym ojcu. Z nikim dotąd nie rozmawiała o jego samobójstwie, była więc zaskoczona, że tamta strata nadal wywołuje dojmujący ból. – O to im właśnie chodziło. Nie chcieli, żeby skandal zniszczył reputację kompanii. Zrozum, firma była dla nich ważniejsza niż człowiek! – Sara nie potrafiła ukryć goryczy. – Tamci

dystyngowani panowie, lekarz, nawet służący... Wszyscy milczeli. Nikt się nie dowiedział o śmiertelnym grzechu mego biednego ojca, który spoczął na przykościelnym cmentarzu, jakby nic się nie stało.

Westchnęła, zbierając siły, żeby przedstawić ostatni, nieuchronny akt tragedii.

– Pozory mylą. To była totalna katastrofa. Wiedziałam, że ojciec chodził z przyjaciółmi do nocnych lokali przy Lal Bazaar, niedaleko Tank Square. ale nie miałam pojęcia, że był hazardzistą. Nałogowo grał w karty i stracił tyle, że zaczął okradać kompanię, by spłacić karciane długi. Zdefraudował tysiące funtów. Po jego śmierci cały nasz majątek został wystawiony na sprzedaż w celu pokrycia strat

– Na tej licytacji kupiłem egzemplarz „Kandyda” z biblioteki twojego ojca – powiedział z ociąganiem Revell. – Chciałem mieć po tobie pamiątkę.

– Pisałam do ciebie. Po śmierci ojca szacowni dżentelmeni z kompanii poradzili mi, żebym dla uniknięcia skandalu i ratowania reputacji zmieniła nazwisko. Musiałam natychmiast opuścić Kalkutę i wyjechać do Londynu. Od razu napisałam do ciebie, do mojego najdroższego przyjaciela, ale nie przyjechałeś. Nie było cię przy mnie, gdy najbardziej cię potrzebowałam.

– Nie dostałem twoich listów, Saro – zapewnił z chmurną miną. – Ani jednego słowa, odkąd umarł twój ojciec.

– Napisałam ich dziesiątki! – odparła przerażona. Serce jej kołatało. – Tamci próbowali oszczędzić mi upokarzających plotek, ale i tak słyszałam, że jestem biedna, więc przestało ci na mnie zależeć.

– Wróciłem do Kalkuty po twoim wyjeździe. Od żony gubernatora dowiedziałem się, że uciekłaś do Anglii z innym mężczyzną.

Sara również poznała tę damę, która nie szczędziła jej napomnień, słów pociechy i współczucia. Z pozoru uosobienie łagodności, słodka

niczym miód... Dopiero teraz wyszło na jaw, że kłamała jak z nut. Wystarczyło spojrzeć na twarz wściekłego i rozzalonego Revella, aby domyślić się, że doszedł do tych samych wniosków.

– Och, Revell, czy sądzisz, że mogłabym pokochać kogoś innego? Kiedy płynęłam de Anglii, za towarzystwo miałam jedynie stary kufer z osobistymi drobiazgami oraz listy polecające.

– Daremnie próbowałam o tobie zapomnieć – wyznał głosem zduszonym z przejęcia.

Sara tak mocno ścisnęła w palcach zieloną gałązkę, że ostre zakończenia liści kłuły ją w palce.

– Nie masz. pojęcia, ile razy podczas długiego rejsu patrzyłam na fale i myślałam, że chyba rzucę się w nie i skończę beznadziejnie smutne życie – powiedziała, spoglądając na gałązkę ostrokrzewu, jakby ujrzęła ją po raz pierwszy.

– Ale tego nie zrobiłaś – odparł, dotykając zielonego listka na jej dłoni.
– A teraz odnalazłem cię nareszcie tuż przed Bożym Narodzeniem.

– Ukradli nam sześć lat, sześć długich lat. – Ujęła dłoń Revella i popatrzyła na niego przez łzy.

– Lecz ani dnia więcej, najdroższa – obiecał, wsuwając gałązkę w jej włosy. – Podczas dzisiejszej maskarady odszukam cię, jak chce Clarissa, i nigdy nie pozwolę ci odejść.

– Panno Blake! – Clarissa westchnęła radośnie. – Naprawdę wygląda pani jak królewna z bajki.

– Święta prawda! – przytaknęła pokojówka Annie, krążąc wokół Sary przeglądającej się w lustrze zawieszonym na ścianie dzieciennego pokoju. – Jak mi Bóg miły, nie będzie na balu piękniejszej damy.

Sara z niedowierzaniem wpatrywała się w swoje odbicie. Dzisiejszą przemianę zawdzięczała nie tylko sukni z niebieskiego aksamitu, lśniącej od kryształowych paciorków i cudownie podkreślającej figurę, dotąd skrzętnie skrywaną. Nie tylko modna fryzura, wykonana rękami osobistej pokojówki lady Fordyce, przesadziła o końcowym efekcie, choć modne loki podkreślały owal twarzy i optycznie wydłużały szyję. Gałązka ostrokrzewu przypięta została nad uchem.

Najważniejsza zmiana nastąpiła w duszy i sercu Sary. Ubyło jej lat, gdy zniknął właściwy guwernantkom surowy wyraz twarzy. Oczy błyszczały jak kryształowe paciorki zdobiące suknię, policzki zabarwił rumieniec szczęścia. Zniknęła wymuszona i nienaturalna sztywność ruchów, a ujawniła się lekkość i wrodzona gracia.

Sara uśmiechnęła się do swego odbicia. Prawda przyniosła wyzwolenie i dokonała czarodziejskiej przemiany. Prawda i miłość Revella, pomyślała Sara, patrząc na siebie z jawnym zdumieniem.

– Panno Blake, lokaj przyniósł to dla pani! – zawołała Clarissa, biegnąc od drzwi tak szybko, że trzęsły się wszystkie dzwonki i kokardy na jej kostiumie. – Proszę natychmiast otworzyć. Chcę zobaczyć, co lord Revell dał pani na Gwiazdkę.

Sara bez pośpiechu uchyliła wieko płaskiej, kwadratowej szkatułki obciągniętej skórą i na moment wstrzymała oddech, nim zajrzała do środka. Z zachwytem wpatrywała się w klejnoty ozdobione najczystszyimi szafirami. Kamienie naszyjnika i długich kolczyków były tak cudownie dobrane, że wzbudziłyby zazdrość samej królowej. W świetle świec płonęły niebieskim ogniem. W pudełku była karta wizytowa z herbem Claremontów i kilkoma słowami od Revella: "Na dobry początek, ukochana".

– A więc to prawda, co gadają w kuchni, panno Blake –zauważyła służąca i pomogła Sarze zapiąć naszyjnik. – O pani i o nim, że ma kopalnie szafirów i w ogóle.

– Moje prawdziwe nazwisko brzmi Carstairs – powiedziała cicho Sara, dotykając szafirów zdobiących jej szyję.

– Dla nas jest pani nadal panną Blake – zawołała Clarissa, podskakując z uciechy. –I byłoby tak, gdyby lord Revell się z panią nie ożenił. Ale niedługo będzie ślub. Czy możemy teraz zejść na dół? Proszę, proszę, proszę!

– Ależ proszę bardzo! – odparta Sara, pochylając się, aby poprawić jej maskę. Potem założyła swoją i zawiązała z tyłu na kokardę. Zakryta twarz to swoisty bilet wstępu na maskaradę. Sara była zadowolona z tego obyczaju, bo pozwalał skryć uczucia i zataić tożsamość. Niezwykła suknia zapewne przyciągnie spojrzenia niektórych gości, lecz niewątpliwie wszyscy zauważą królewskie szafiry na jej szyi. Kiedy rozejdzie się plotka, że to prezent od Revella, skromna guwernantka, dotychczas ignorowana, znajdzie się w centrum uwagi. Maseczka będzie wtedy jedyną osłoną.

Gdy weszła z Clarissą do sali balowej, plecy miała proste I głowę trzymała wysoko, ale serce jej kołatało, a w ustach miała tak sucho, że obawiała się, czy zdoła wykrztusić słowo. Zniknięcie Clarissy sprawiło, iż były spóźnione, a pod ich nieobecność goście bawili się w najlepsze. Jedni tańczyli w rytm skocznej muzyki na zatłoczonym parkiecie, inni przyglądali się, plotkowali, sączyli napoje i wybuchali śmiechem, wędrując po sali.

Wśród nich był Revell...

– Panno Blake, jest cudownie, prawda?! – zawołała uradowana Clarissa i zdjęła maskę, żeby móc wygodniej podziwiać zrobioną przez nie dekorację, przede wszystkim słonie i tygrysy, które wyglądały zza gałązek

ostrokrzewu i zdawały się ożywać w migotliwym świetle świec. – O, tam jest mama! Widzę pawie pióra! Wpięta je we włosy.

Nim Sara pojęła, co się dzieje, Clarissa rzuciła się między gości, którzy właśnie skończyli taniec. Panowie kłaniali się, panie wdzięcznie dygały. Ani śladu Revella.

– Dobry wieczór, panno Carstairs – powiedział mężczyzna w czerwieni i ujął jej dłoń, nie pytając o pozwolenie. Jego wysokość książę nie miał zwyczaju czekać. – Chciałbym pierwszy wspomnieć o pani cudownej metamorfozie. Mój brat zawsze potrafi dostrzec piękno ukryte w nieoszlifowanym kamieniu, a pani, moja droga, promienieje teraz jak prawdziwy brylant.

– Proszę wybaczyć, wasza wysokość, ale w tym rozumowaniu tkwi błąd. Pański brat kochał mnie taką, jaka byłem, a jego afekt nie zależy od mego wyglądu. To najrzadszy dar. Ja również od lat niezmiennie darzę go uczuciem, a metamorfoza, którą pan zauważył, nastąpiła dzięki magicznej sile miłości.

– Magia miłości. – Brant uśmiechnął się pobłaźliwie. – Kto wie, panno Carstairs, może jednak uszczęśliwi pani Revella i da mu powód do dumy.

– Cała rodzina będzie z niej dumna – powiedział Revell, stając nagle obok nich. Wziął Sarę za rękę i szybko odciągnął od brata, lecz zamiast ustawić się wśród tancerzy czekających na pierwsze dźwięki melodii, wyszedł na środek sali. Wszyscy zamilkli, zwracając głowy w ich stronę.

Sara roześmiała się nerwowo.

– Revell, co ty wyprawiasz? Gapią się na nas.

– Niech patrzą – odparł beztrosko. – Znalazłem cię, jak zapowiedziała Clarissa.

Zdjął maskę i wsunął ją do kieszeni. Sara także zsunęła z twarzy maseczkę. Revell wyjął okrągłe pudełeczko obciążone wytartą cielecą skórą. Gdy uniósł wieczko, Sara zobaczyła pierścionek z szafirem, leżący na błyszczącej satynie. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że czas pędzi, a zarazem niezapomniana chwila rozciąga się na całą wieczność.

Czary, pomyślała oszołomiona. Magia miłości. Urok Gwiazdki i papierowy tygrys z przekrzywioną główką. I Revell. Teraz jej Revell.

Z niewysłowioną czułością ujął jej dłoń.

– Saro, chyba zawsze cię kochałem – powiedział, a oczy ich obojga promieniały tą samą radością. – Na wieki będziesz moją miłością. Proszę, najdroższa, obiecaj, że za mnie wyjdiesz.

– Tak – odparła, i nie czekając, aż włoży jej pierścionek na serdeczny palec, objęła go ramionami. – Tak, tak! Teraz będziemy razem!

Czekały ich radosne święta.